WTOREK 10 V 1983 Cena 5 zł Nr 55

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

„DRUHNA NUTKA" przebojem lubelskiego festiwalu piosenki

(Inf. wł.). Przez dwa dni sale Lubelskiego Domu Kultury rozbrzmiewały harcerskimi piosenkami i zabawami. Do tradycji należy już ogranizowanie w kwietniu spotkań harcerskich zespołów instrumentalno-wokalnych z terenu Chorągwi Lubelskiej. I chociaż spotkania te nazwano festiwalem piosenki, nie tylko festiwalowe laury i punkty chodziło organizatorom.

– Nazwa festiwal jest zbyt szumna – mówi dh Ewa Zieleniewicz z Lubelskiej Chorągwi ZHP, organizatorka imprezy. – Nie ma przecież ani reflektorów, ani kamer, ani też typowej festiwalowej tremy przed widownią. Są natomiast harcerze, którzy chcą i lubią śpiewać, którzy swoje piosenki, często własnej kompozycji chcą przedstawić innym. Głównym celem tych spotkań jest rozśpiewanie młodzieży.

Trzeba przyznać, że zamierzony przez organizatorów cel został osiągnięty. Zuchy, harcerze, a nawet instruktorzy pokazali, że nie tylko potrafią śpiewać, ale również wspaniale się bawić, że nie brakuje im ani dowcipu, ani fantazji. Kiedy z estrady schodził występujący zespół, do głosu dochodziła widownia i śpiewali wszyscy zgromadzeni w sali.

Wielu piosenek prezentowanych przez poszczególne zespoły harcerze uczyli się „na gorąco", a miano przeboju zdobyła sobie „Druhna Nutka", która podobnie jak ubiegłoroczna „Harcerska samba" królować chyba będzie podczas lata 83.

W V Festiwalu Piosenki Harcerskiej zaprezentowało swój program około 400 zuchów i harcerzy skupionych w 36 zespołach. Jury pod przewodnictwem pani Krystyny Janicz z Ministerstwa Oświaty i Wychowania wyróżniło 14 zespołów. Najlepsze z nich to „Polne Kwiaty" z Suchodołów, zespół wokalny ze Szkoły Podstawowej nr 30 w Lublinie, zespół harcerski ze Zbiorczej Szkoły Gminnej w Karczniskach, drużyna „Skrzaty" ze Szkoły Podstawowej nr 2 w Lublinie oraz „Śpiewory" z Technikum Geodezyjno-Drogowego w Lublinie. Laureaci otrzymali nagrody pieniężne na dofinansowanie akcji letniej. Najlepsi uczestnicy pojadą również na centralne imprezy harcerskie i obozy zagraniczne.

(dn)

KLAUDIUSZ!

Wysłałeś na początku kwietnia list do naszego Towarzystwa Wiedzy Poszukiwanej. List bardzo pesymistyczny. Chciałbym z Tobą porozmawiać na temat poruszonych w nim spraw, ale nie mogę tego zrobić bez Twojej pomocy. Czekam więc na jeszcze jeden list z nazwiskiem i adresem. Trzymaj się!

JAROSŁAW LISIECKI

Handlowcy lepsi od piłkarzy?

(PAP). W niebanalny sposób „uczcili" spotkanie Juventusu Turyn z łódzkim Widzewem Młodzieżowy Dom Odzieżowy „Juventus" w Łodzi. Przygotowano tu specjalną kolekcję ubiorów dziewczęcych składających się z kamizelek i kloszowych spódnic z białej tkaniny, której jedynym elementem dekoracyjnym jest barwna piłka futbolowa. Tkanina ta została wykonana na specjalne zamówienie przez Centralne Laboratorium Przemysłu Bawełnianego.

Połowę „futbolowej kolekcji" przekazano do sprzedaży w dniu meczu rozgrywanego w Turynie. Pozostała część była do nabycia w dniu rewanżowego spotkania w Łodzi. (kl)

„ŚNIEŻNE MAŁPY"

Tak można nazwać małpy z rodziny makaków, zamieszkujące wszystkie wyspy japońskie, z wyjątkiem najdalej na północ wysuniętej części wyspy Hokkaido. Skąd się wzięły te bądź co bądź ciepłolubne zwierzęta w surowych warunkach, gdzie temperatura sięga niejednokrotnie kilkunastu stopni Celsjusza poniżej zera?

Jak wykazały badania, w przeszłości, a było to mniej więcej około 30–40 milionów lat temu, obecny archipelag japoński oderwał się od azjatyckiego kontynentu, przesunął o kilkaset kilometrów na południowy wschód obracając się jednocześnie wokół swojej osi, a do tego „pękł" w połowie. Najprawdopodobniej małpy (makaki zamieszkują kontynent azjatycki) znalazły się właśnie na tej „wędrującej" jego części.

Przez miliony lat makaki przystosowały się do surowych warunków. Jedna z grup mieszkająca w regionie Shiga wykorzystuje znajdujące się tam gorące źródła, zażywając w nich kąpieli podczas zimy i w okresie deszczów.

Na zdjęciu prezentujemy makaki z japońskich wysp.

repr. W. Mroczek

NIE TYLKO ODKURZANIE EKSPONATÓW

Fot. M. Szymański

Kiedy pan Mroszczyk opowiada o II wojnie światowej, uczniowie czują się jakby sami to przeżywali

TWORZYĆ WŁASNYMI RĘKAMI

– Tak, proszę pani, sami to robiliśmy. Szkoła jest przecież zawodowa, umiemy dużo praktycznych rzeczy. Zrobić boazerię, proszę bardzo, ale tu były ważniejsze rzeczy. Dziewczyny szyły, reperowały, co trzeba – prały. My wykonaliśmy niektóre eksponaty, bo nie wszystkie są oczywiście autentyczne. W Muzeum Wojska Polskiego, które interesuje się życzliwie naszą działalnością, pozwolono nam odrysować i pomierzyć autentyczne lance i kosy. Zrobiliśmy je u siebie, w szkolnym warsztacie. Sami – albo nasi starsi koledzy – ściągaliśmy do szkoły wszystko, co tu pani widzi. Albo wycygaliśmy od rodziny, albo dawali przyjaciele szkoły... Sami to wszystko konserwujemy.

CIĄG DALSZY NA STR. 5

BIBLIOTEKARZE NA AUKCJI W KRAKOWIE

KRAKÓW (PAP). Odbyła się ona w kwietniu i wzięło w niej udział aż 300 bibliotekarzy, koneserów i znawców książek z całego kraju. Było to już 36 tego rodzaju spotkanie. Ceny nabycia przekraczały kilka, a nawet kilkakrotnie cenę wywoławczą. Nic dziwnego! Były tam takie białe kruki jak I wydanie „Pana Tadeusza" Adama Mickiewicza (cena wywoławcza 22 tys. zł), „Bajki" – La Fontaine'a z niezwykle cennymi rycinami i Księga Wassenberga „O podróżach Jana Kazimierza". (eb)

„SŁAWNI ŻEGLARZE"

(PAP). Dużą popularnością zawsze cieszą się książki z serii „Sławni żeglarze". W tej zapoczątkowanej ponad 15 lat temu przez Wydawnictwo Morskie serii ukazały się dotychczas 42 tytuły. Rekordy powodzenia osiągnęły takie książki jak: „Samotny rejs Opty" Leonida Teligi, „Na Ra przez Atlantyk" Jurija Sienkiewicza, czy wydana w 100-tysięcznym nakładzie „Pierwsze dookoła świata" Krystyny Chojnowskiej-Liskiewicz. W tym roku ukaże się książka Henryka Jaskuły „Non stop dookoła świata", opisująca sukces Polaka. Kolejna pozycja to zapiski z pierwszej wyprawy jachtu „Pogoria" do stacji polarnej im. Arctowskiego na King George w Antarktyce. Autorem jest Kazimierz Robak. (kl)

TELEFON, ALE JAKI?

(PAP). Amerykańskie firmy wypuszczają na rynek wciąż nowe modele aparatów telefonicznych, które mogą dosłownie wszystko, od ujawniania numeru rozmówcy, aż do samoczynnego wezwania pogotowia. Konkurencja jest olbrzymia i każda firma stara się jak może, by zdobyć rynek jakąś supernowością.

Najnowocześniejsze modele są wyposażone w ekrany telewizyjne, specjalne automatyczne systemy alarmowe, wzmacniacze i elektroniczne kalendarze.

Np. aparat „Privecode" w porę informuje abonenta, kto jest na linii, umożliwiając mu w ten sposób podjęcie decyzji czy podnieść słuchawkę, czy nie.

Z kolei „Martcare" przeznaczony jest głównie dla ludzi starszych i niedołężnych. Jest on w stanie np. wezwać pomoc do pacjenta, który zasłabł.

Cena tych nowości jest oczywiście odpowiednio wysoka. Nie każdy może sobie na nie pozwolić, wobec czego wielu obywateli kupuje modele bardzo tanie, w granicach kilkunastu dolarów.

(kl)

REPORTER Świata Młodych

Gdybym był nauczycielem...

DYSCYPLINA

Już ktoś bardzo dawno stwierdził, że „czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci". Rola w tym nauczycieli jest bardzo ważna. Muszą oni rozszyfrować każdą osobowość dziecka. Należy również nie zapominać, iż te małe początkowo dzieci mogą po niedługim czasie stać się zupełnie dorosłymi przedstawicielami ludzkości! Bardzo rzadko jest to rozumiane we właściwym czasie. Właśnie wtedy, gdy dzieci przestają być dziećmi i wchodzą do tego innego świata, dochodzi często do nieporozumień. Konflikty z rodzicami i otoczeniem prowadzą często do całkowitej zmiany osobowości. Nauczyciele wówczas często nie potrafią zastosować właściwej taktyki.

Wśród grona nauczycieli znajdują się również tacy, którzy uważają, że to, co robią w swoim życiu prywatnym, nie znajduje oddźwięku u uczniów. Czy można mieć na przykład szacunek dla takiego człowieka, który pije wódkę ? i prowadzi rozwiązły tryb życia, a po przyjściu do szkoły pouczа młodzież, że pijaństwo to upadek moralny?

Godzina wychowawcza, zwana w szkołach ponadpodstawowych ZWO, jest jedyną lekcją, gdzie może nwiązać się ścisły kontakt między nauczycielem a uczniami. Często tak bywa, że lekcje te nie dają żadnego pożytku. Część uczniów w tym czasie odrabia zadanie domowe, czyta gazety, a tylko niewielka grupa zainteresowana jest sprawami poruszanymi na lekcji. Żłym posunięciem nauczyciela jest narzucanie swego zdania uczniom w ramach swej „wyższości". Dyskusje młodzieży są często przerywane wyraźnym „NIE" ze strony nauczyciela i tym akcentem najczęściej kończy się ZWO. Wychodzi się potem z ulga, że nareszcie skończyło się przysłowiowe „nawijanie".

Celem nauczania powinno być zainteresowanie czymś oryginalnym, jakimiś ciekawostkami, wykorzystaniem filmów i innych pomocy naukowych. Uciążliwe jest słuchanie wykładu nauczyciela, który mówi jednostajnie przez całe 45 minut, albo bardzo ostentacyjnie oświadcza: *„A teraz przeczytacie sobie odpowiedni fragment w podręczniku w celu samokontroli i samooceny..."* Potem tylko patrzy na zegarek i liczy minuty do dzwonka, aby jak najszybciej zrobić sobie przerwę na przysłowiowego papierosa. Zdarzało się w poprzedniej szkole, do której uczęszczałam, że na lekcji nauczyciela piła kawę lub też czytała listy!

W szkole podstawowej szczególnie nauczyciele uważają, że do lekcji nie muszą się dokładnie przygotowywać. Wystarczy wyrecytować parę regułek, a dzieci i tak będą musiały opracować temat w domu, bo w tak młodym wieku nie ma się jeszcze konkretnych zainteresowań. Uważają, że jeśli coś kogoś interesuje – wystarczy zapisać się do kółka zainteresowań.

Ważną sprawą jest również dyscyplina. Jest ona czynnikiem polepszającym wyniki pracy nauczyciela jak i młodzieży. Dyscyplinę należy utrzymywać od najmłodszych lat. Nie można patrzeć pobłażliwie na ucznia, który nie odrobił zadanego ćwiczenia. Powinien za to otrzymać zasłużoną karę, która wpłynie na sumienne wykonywanie przez nigo obowiązków szkolnych.

W szkole, do której uczęszczam, panuje ogromna dyscyplina. Uczą w niej przeważnie nauczyciele w średnim wieku. Początkowo system nauczania wydawał nam się nie do przyjęcia. Powoli jednak przyzwyczailiśmy się do panujących reguł, choć nie do wszystkich. Na trójkę trzeba tu dobrze zapracować. Być może gdzie indziej dostałoby się za to samo ocenę bardzo dobrą, ale gdzie tu sens? Każdy przecież uczy się dla siebie i to, co wyniesie ze szkoły, będzie musiało być pomocne w dalszej „karierze zawodowej". Dodam jeszcze, że 95 proc. uczniów z tej szkoły dostaje się na studia wyższe. Dzieje się to dzięki dyscyplinie utrzymywanej przez nauczycieli w stosunku do uczniów oraz dzięki dyscyplinie, która utrzymuje dyrektor. Jest to również ważne, gdyż i nauczyciele potrzebują pewnego nadzoru, ponieważ często ulegają różnym wpływom.

Och, jakże potrzebna nam teraz dyscyplina w państwie. Aby wyjść z kryzysu gospodarczego i moralnego, bo i taki istnieje, należy zacząć reformę od podstaw, tzn. od tych środowisk, w których znajdują się młodzi. Muszę znaleźć się ludzie, którzy od początku będą wpajać nam, Polakom, dyscyplinę. To jest jedyne wyjście, aby można było nareszcie zrobić krok do przodu i aby przestano nam wytykać wady narodowe.

Beata Tomajer
Starogard Gdański,
(członek Ligi Reporterów)

TYLKO Z POWOŁANIA

W czasie mojej dziesięcioletniej edukacji tylko jedna nauczycielka zasłużyła u mnie na miano prawdziwego pedagoga. Jest bardzo wymagająca, ale nie do przesady. Potrafi zrozumieć ucznia, doradzić mu. Jest wyrozumiała. Jej lekcje nie są nudne, gdyż urozmaicа je różnymi ciekawostkami. Stawia oceny takie, na jakie zasłużył sobie uczeń.

Resztę nauczycieli dzieli od nas duży dystans.
Lekcje rozpoczynają od podania wiadomości, że tego a tego dnia będzie sprawdzian. Oceny, które stawiają, nie są sprawiedliwe. Stawiane są tendencyjnie, zależą od humoru nauczyciela.

Wychowawczyni nasza troszczy się tylko o frekwencję i poziom nauczania w klasie, a nie nawiązuje kontaktu z młodzieżą. Nie posiada energii ani pasji, jaka jest potrzebna wychowawczyni. Być może moja ocena jest zbyt surowa, ale prawdziwych pedagogów spotyka się bardzo rzadko i trzeba mieć do tego szczęście.

Zawód nauczyciela jest trudny i wymaga dużej cierpliwości i opanowania nerwów. Toteż młode pokolenie powinni uczyć ludzie z powołania. Złym pedagogiem jest ten, dla którego praca w szkole stała się koniecznością. Ludzie tacy nie powinni pracować w szkołach, gdyż swoją obecnością zrażają uczniów do przedmiotu, którego uczą, a nawet do szkoły.

„Żaba"

DRUGI DOM?

„Szkoła Twoim drugim domem." Z tym zdaniem i stwierdzeniem spotykam się dosyć często. Lecz jak szkołę można uważać za dom, gdzie ojcowie i matki (myślę o nauczycielach) nie spełniają swoich obowiązków? Ich zdaniem wychowawstwo polega na odsiedzeniu w klasie tych 45 minut. Nie potrafią zrozumieć, że uczeń, który nieprawidłowo rozwiązał zadanie, mógł w całości nie zrozumieć lekcji. A dlaczego nie pomyślą, aby temu dziecku wytłumaczyć dwa razy?

Moim marzeniem jest w przyszłości zostać nauczycielką języka polskiego, a dobrze wiem, jaki to jest trudny i odpowiedzialny zawód. Często już prowadziłam lekcje i korepetycje, i sądzę, że mam do tego tzw. powołanie. Na pewno bym potrafiła zrozumieć uczniów i walczyć o ich dobro. A lekcje urozmaicałabym różnymi żartami, opowiadaniami i ciekawostkami związanymi z przedmiotem.

A może by tak powycinać z gazety poszczególne wypowiedzi na temat nauczycieli i dać nauczycielom do przeczytania? Może by zrozumieli, jakich nauczycieli naprawdę potrzebujemy?

„Kaśka"

SZUKAMY IDEAŁÓW

Nasza szkoła to kilka tysięcy rozeźmianych i niesfornych uczniów przy garstce nauczycieli. Rozumiem, że nie sposób ogarnąć i podtrzymać na duchu każdego z osobna. Dlatego też od przedstawicieli naszego grona pedagogicznego nie żądam aż takiego poświęcenia! Mają oni swoje problemy i szereg własnych spraw. Dlaczego jednak im – nauczycielom, i nam – uczniom tak trudno się porozumieć?...

Oto lekcja wychowawcza. Pani X „truje" o tym, jacy to my jesteśmy okropni. Kto słucha? Nikt, trudno bowiem słuchać tych skarg (które słyszało się setki razy), gdy kolega wyjmuje najnowsze zdjęcie BEE GEES. A oto apel. Na korytarzu idealna cisza. Mimo to niewiele dociera do sztywno wyprostowanych uczniów. Pan dyrektor nie może zrozumieć znudzonych min wychowanków, a my nie rozumiemy, dlaczego on się właściwie powtarza? Kto ma dane zostać wzorowym uczniem, będzie nim po usłyszeniu raz jedyny skierowanych do niego słów, a chuligana nie wzruszą na pewno i setki powtarzających się apeli. To, co o nich się mówi, znamy prawie na pamięć.

Dlaczego szkoła nie stara się przekazać nam wiadomości o zespołach Beatles, Abba? Dlaczego mało wiemy o sławnych sportowcach, aktorach? Czy dlatego, że to wiąże się z rozrywką, kulturą i naszymi zainteresowaniami? Podręczniki jakby na złość są szare, nijakie. Choć my pragniemy barwnych i ciekawych! Czy w wiadomościach geograficznych obok półwyspów i cieśnin, nie można by przekazać wiadomości o ludziach i ich życiu?

Nie zgadzam się z opinią nauczycieli, że my nie mamy nic do roboty prócz nauki. Taki nauczyciel dawno zapomniał, co znaczy być młodym. Najgorsze jest jednak to, że nauczyciel często wykłada lekcje, nie wierząc we własne słowa. Mówi o bohaterstwie, ale myśli coś innego. My, uczniowie, choć pozornie obojętni, widzimy tę i wiele innych spraw. Może dlatego, że szukamy ideałów...

Iwona
(członek Ligi Reporterów)

REDAKCYJNA POCZTA

„Zmartwiona", nie martw się!

Piszę w sprawie listu „Zmartwionej" z 38 nr „RP".

Napisałaś, że nikt na dyskotece nie zwracał na Ciebie uwagi i nie prosił do tańca. Nie powinnaś z tego robić tragedii, a poza tym nie wierz każdej koleżance, zwłaszcza że zazdroszczą Ci urody. Nie rób żadnych głupstw ze strzyżeniem włosów czy opuszczaniem się w nauce, bo to pogorszyłoby tylko Twoją sytuację wśród rówieśników. Niepotrzebnie oklamałaś rodziców, mówiąc im, że miałaś powodzenie. Gdybyś powiedziała prawdę, być może rodzice udzieliliby Ci wielu wskazówek, jak masz postępować. Głowa do góry i nie przejmuj się radami nieszczerych koleżanek.

Marek

Kochamy jedną dziewczynę

Jak na złość, zakochaliśmy się z kolegą w jednej dziewczynie. Ewa chodzi do tej samej szkoły co my. Kochani! poradźcie, co mamy robić? Ewa wie o naszych uczuciach i kazała nam rozstrzygnąć ten problem między sobą. Mieszkamy z kolegą w internacie w tym samym pokoju, chodzimy do tej samej klasy. Chcielibyśmy dalej żyć ze sobą w zgodzie.

Arek i Krzysiek

Jestem szczęśliwa

Mam 17 lat i jestem uczennicą kl. LO. Staram się zawsze być pogodna i uśmiechnięta, nawet wtedy gdy nie wszystko mi się układa. Wierzę, że „po nocy przychodzi dzień, a po burzy słońce i spokój". To pozwala mi przetrwać wszystkie trudne chwile. Nie warto, moim zdaniem, zamartwiać się niepowodzeniami, trzeba wierzyć, że następne dni będą lepsze.

Mam chłopca starszego ode mnie o 3 lata. Znajduję w nim przede wszystkim przyjaciela, który zawsze mnie zrozumie.

Mam także wspaniałego starszego brata. Życzyłabym każdemu tak wyrozumiałego rodzeństwa. Rodzice moi też są w porządku. Sądzę, że mam prawo zakończyć mój list stwierdzeniem: jestem szczęśliwa.

Elka

Jak się uczyć?

Jestem stałą czytelniczką „RP". Ponieważ często zdarzają się listy z pytaniem: jak się uczyć, chcę koleżankom i kolegom udzielić rad, które sama stosuję.

Polecam materiał, np. z historii, powtarzać w łóżku. Kiedy się już poleży ze 20 minut, wziąć książkę i przeczytać dany rozdział 2–3 razy. Po przeczytaniu włożyć książkę pod poduszkę i spokojnie spać. Gwarantuję, że następnego ranka wszystko będziecie umieć.

Inny sposób to wziąć podręcznik, przeczytać dany rozdział (oczywiście skupiając się na tym, co się czyta), po przeczytaniu zamknąć oczy, dwoma palcami ścisnąć skronie i przypomnieć sobie to co się czytało. Może to wygląda komicznie, ale działa!

Życzę sukcesów w nauce.

Karolina

Nigdy jeszcze nie zakochałem się

Mam 17 lat. Bardzo chętnie czytam „RP". Są w niej poruszane ważne problemy młodzieży, ja mam także swój problem – czuję się bardzo samotny, nie mam przyjaciół, dziewczyny mnie nie lubią. Nigdy jeszcze nie zakochałem się. Co robić?

Eugeniusz

Spotkania

ZŁOTY SZNUR

Czy dla mnie nie ma już ratunku? List Marioli zaczynał się niezwykle dramatycznie. Mariola skończyła piętnaście lat, jest uczennicą ósmej klasy, uczy się średnio. Mieszka z rodzicami, babcią i młodszą siostrą. Ma swój pokój, wszelkie wygody, magnetofon i ciuchy. A jednak jej list brzmi rozpaczliwie, choć brakuje jej tylko jednego – zrozumienia ze strony rodziców i babci.

Mariola jest dużo starsza od swej młodszej siostry, toteż długi czas żyła właściwie jak jedynaczka. Czas spędzała w domu z rodzicami, jeśli gdzieś wychodziła to z nimi lub tylko z mamą. Pamięta jak przed laty jej rówieśnicy śmiali się widząc ją z mamą na sankach. Już wtedy starała się mamie wytłumaczyć, że według dziecięcych zasad swoją nadmierną opieką przynosi jej wstyd. Może nie używała takich sformułowań, ale o to jej przecież chodziło.

Teraz coraz trudniej Marioli znaleźć wspólny język z rodzicami. Ojciec nie ma dla niej czasu, mama nie pozwala jej nigdzie wychodzić, a jeśli już nawet takie pozwolenie otrzyma, musi być w domu przed szóstą. Jest jej z tym strasznie ciężko i wyłała przez rodziców sporo łez, a tu jeszcze babcia buntuje przeciwko niej mamę.

Ostatnio zanosi się na kolejną, a właściwie ostatnią już ofiarę z jej strony. Mariola zainteresowała się krótkofalarstwem. Zajęcia odbywają się dwa razy w tygodniu, a ci którzy biorą w nich udział to zgrana koleżeńska paczka. Mama zabroniła Marioli kategorycznie i tej przyjemności, choć przez nią dziewczyna zrezygnowała już z SKS, koła zajęć praktyczno-technicznych i szkolnego teatru żywego słowa. Teraz przyrzekła sobie, że nie ustąpi. Przecież to jej ostatnia rozrywka i okazja do pozaszkolnych spotkań. „Ja wiem, że ona martwi się o mnie, gdy nie ma mnie w domu – pisze Mariola – ale przecież nie mogę stale tak żyć. Nawet lekarz szkolny kazał mi się dotleniać, bo jestem osłabiona od tego ciągłego przebywania w murach. A najgorsze, że nie mam się nawet przed kim wygadać. Jak już mnie coś do głębi poruszy, to wtedy rozmawiam z moim starym psem Miśkiem. Tylko przed nim mogę być szczera."

I jak tu pomóc Marioli? Do kogo kierować te słowa: do niej, do jej rodziców, czy jeszcze do kogoś innego. Interwencja drużynowej okazała się bezskuteczna. A tu dziewczyna coraz bardziej zamyka się w sobie, nie może porządnie zająć się nauką, rośnie jej żal do całego świata.

A wszystko przez ten... złoty sznur, z którego nie może wyplątać się Mariola, tak przez piętnaście lat objęły ją ciasno jego sploty. Przez złoty sznur, którego nie chce rozciąć ani nawet poluzować matka. Ten złoty sznur to matczyna miłość. Wziąłem to określenie z jakiejś zachodniej sztuki teatralnej, którą kiedyś pokazała nasza telewizja. Tam przy pomocy złotego sznura matczynej miłości jedna kobieta paraliżowała życie drugiej dorosłej kobiety, bo druga z bohaterek, córka, była co najmniej dwa razy starsza od Marioli. Była dwa razy starsza, a też bezwolnie miotała się w złotej sieci. O ile więc trudniej uwolnić się z niej nadawczyni listu. A pewnie nie tylko jej.

A to przecież tak jak z tym przysłowiowym zagłaskaniem kota na śmierć, które w intencji głaszczącego ma oczywiście kotu sprawiać wyłącznie przyjemność. To tak jak przygotowanie w najlepszych intencjach dla gościa naszego ulubionego dania i zdziwienie, że może mu nie smakować. To tak jak z motylem, który podziwiany za swe barwy i kształt kończy przyszpilony w zbiorach swo wielbiciela.

Ale bardziej serio. Jest rzeczą oczywistą, że dla normalnego rozwoju – psychicznego i fizycznego – każdego człowieka potrzebne jest stopniowe przechodzenie wszystkich faz rozwojowych: od pełnej zależności do pełnej niezależności od innych (choć tak naprawdę tej pełni raczej osiągnąć się nie udaje), potrzebne jest wchodzenie w coraz to nowe układy społeczne: od pierwszych z matką, z rodzicami, do następnych – z rówieśnikami, ze społeczeństwem, potrzebne jest zaspokojenie coraz bogatszych potrzeb nie kończących się na sprawie jedzenia i dachu nad głową, ale związanych z zainteresowaniami, z własnym intelektem, życiem emocjonalnym, z fizycznym rozwojem organizmu. Miłość jest witaminą niezbędną do rozwoju małego dziecka. Dzieci jej pozbawione życie okaleczа na zawsze. Ale jej przedawkowanie, szczególnie w latach późniejszych, też może okaleczyć. Czy będzie to w stanie zrozumieć matka Marioli, która z pewnością kocha swą córkę i jest nawet w tej miłości przez nią rozumiana? („Ona martwi się o mnie" – napisała przecież w liście Mariola.) Kto może jej to wytłumaczyć? Jeśli będzie to konieczne, zgodnie z obietnicą daną w jednym z poprzednich „Spotkań", podejmę się mediacji, ale może problem uda się rozwiązać bez tego. Osobiście liczyłbym jeszcze na ewentualną pomoc lekarza (na jego zdanie powoływała się Mariola w liście) lub może kogoś z jej własnej rodziny, kto stosunki ze swoimi dziećmi potrafił ułożyć na innych zasadach.

Za dwa tygodnie Dzień Matki. Może wtedy dojdzie do jakiejś szczerej rozmowy. Może wtedy mama Marioli zrozumie, że jej wychowawczy sukces to rosnąca samodzielność córki, która sama potrafi wybrać w życiu właściwą drogę. Może złoty sznurek będzie już tylko potrzebny do przewiązania kilku wiosennych kwiatów.

Jarek

TU REFORMA SIĘ UDAŁA

Nie jest to zakład produkcyjny, a typowo remontowy, chociaż gdy brakuje części od poddostawców – to i owo trzeba dorobić na miejscu. A przedsiębiorstw podobnych Elbląskim Zakładom Naprawy Samochodów jest w całym kraju 17. Dlaczego aż tyle? Bo w zasadzie tylko one wykonują tzw. naprawy główne, które można porównać do np. generalnego remontu domu. Nie wyrabia się tu samochodów, ale po takim remoncie nawet gruchot wyjeżdża jak nowy. A naprawa główna „Autosanu" H-9 się opłaca, bo za naprawiony płaci się 565 tys., a nowy kosztuje 2.180 tys. złotych.

Właśnie autobusy marki „Autosan" to specjalność elbląska. Inne autobusy i samochody ciężarowe remontuje się na ogół w pozostałych zakładach naprawy samochodów. Kto zamawia takie remonty? Ano przede wszystkim przedsiębiorstwa Państwowej Komunikacji Samochodowej, czasem przedsiębiorstwa turystyczne, czasem będąca właścicielem autobusu fabryka. Trwa taka naprawa, jeśli nie brakuje podstawowych części, 21–26 dni.

SKĄD SIĘ WZIĘŁY EZNS?

Przed wojną była tu niemiecka firma motoryzacyjna, w czasie wojny zamieniona przez hitlerowców na zakłady zbrojeniowe. Po wyzwoleniu mocno zniszczona fabryka ruszyła dopiero 16 kwietnia 1947 roku. Początkowo wytwarzano w niej przyczepy tzw. kłonicowe i motopompy strażackie, ale już od 1949 roku przeważały remonty samochodów i silników samochodowych. Dziadkowie lub nawet rodzice Wasi pamiętają, że ponad 30 lat temu wyprodukowano w Polsce pierwszy powojenny autobus o konstrukcji metalowo-drewnianej. Właśnie w Elblągu remontowano te autobusy oraz silniki do tych i innych pojazdów.

Stary zakład rozbudowano i unowocześniono w latach 1973–1977. Wyrosły nowe hale: przyjęć autobusów i zespołów luzem do naprawy, montażu ostatecznego, a także magazyny, szatnie, dwie stacje zasilania elektrycznego i ciepłownia o mocy 25 gigakalorii dostarczająca ciepło także do zakładów sąsiednich.

KTO W NICH PRACUJE?

Załoga zakładów liczy obecnie 1260 osób, w tym 1/4 kobiet. Przeważnie są to ludzie młodzi, poniżej trzydziestki. Jeszcze 10 lat temu brakowało specjalistów, zwłaszcza inżynierów. Ale przedsiębiorczy i doświadczony dyrektor inż. Jan Obrzut, który przepracował w EZNS aż 23 lata, a zaczynał jako kontroler techniczny, dał sobie z tym radę. Po prostu nie żałował pieniędzy na stypendia fundowane dla studentów politechnik, a później pomagał im zdobyć mieszkanie. Stypendiów dla przyszłych techników wprawdzie nie fundowano, ale już 10 lat temu w Elblągu się mówiło, że dyrekcja EZNS dba o swoich pracowników, więc sami przychodzili. Dziś pracuje tu ponad setka techników i kilkunastu inżynierów. Wykwalifikowanych robotników dostarcza natomiast przyzakładowa Zasadnicza Szkoła Zawodowa. Przybywa ich rocznie około pięćdziesięciu, co wystarcza, gdyż mniej więcej tylu pracowników co roku odchodzi.

JAK WPROWADZANO REFORMĘ?

Reforma gospodarcza w przedsiębiorstwie polega – najprościej mówiąc – na realizacji zasad trzech „S": samodzielności, samorządności i samofinansowania. Poprzednio EZNS podlegały Zjednoczeniu Zaplecza Technicznego Motoryzacji. Obecnie jest ono w stadium likwidacji, która nastąpi z końcem kwietnia br., i w niczym nie ogranicza swobody ani inicjatyw przedsiębiorstw. Nie ogranicza jej również Ministerstwo Komunikacji.

Ale samodzielność to także pełna odpowiedzialność za całą załogę, to konieczność troski o jej warunki pracy, zarobki, a także gospodarowanie wszystkim, co w przedsiębiorstwie się znajduje. I w tym pomaga dyrekcji samorząd pracowniczy. W EZNS liczy on 30 osób. Wybrany został w tajnym głosowaniu na walnym zebraniu załogi w listopadzie 1980 roku i jest jej reprezentantem. W okresie stanu wojennego był zawieszony, a obecnie wznowił swoją działalność.

Główny sens reformy gospodarczej tkwi jednak w samofinansowaniu się. I słusznie, bo po co utrzymywać zakłady deficytowe, przynoszące straty? Zrozumiałe, że ze skarbu państwa dopłacamy do tego, abyśmy mogli za darmo się uczyć, korzystać z bibliotek... Ale żeby dopłacać do produkcji artykułów technicznych, czy choćby do remontów samochodów?

Elbląskie Zakłady Naprawy Samochodów są dochodowe od trzydziestu lat. Czy wobec tego nie trzeba było w nich gruntownie niczego reformować? Czy wystarczała niezależność od zjednoczenia i wybranie samorządu? Niestety nie, gdyż stary system płac, który nie zawsze skłaniał do solidnej pracy, trzeba było zmienić. I tym się zwłaszcza zajął 8-osobowy zespół specjalistów. Chodziło przede wszystkim o odpowiedź na pytanie: jakie motywy decydują o dobrej pracy, jak zachęcić do niej wszystkich pracowników? Niełatwe to było zadanie. Ośmiu głów do tego nie wystarczyło. Trzeba było na zebraniach i różnorodnych spotkaniach w poszczególnych wydziałach zasięgnąć opinii całej załogi. Te opinie, a także spostrzeżenia zespołu, po przeanalizowaniu z dyrekcją przedsiębiorstwa, pozwoliły na stworzenie nowego systemu: wynagradzania, premiowania, nagradzania, przeszeregowania i awansów w poszczególnych grupach zawodowych. Dziś solidni pracownicy i dobrzy fachowcy zarabiają więcej od innych. I żeby tak było, kontrolę nad tym, obok samorządu pracowniczego, sprawuje nowo utworzony związek zawodowy.

Pracowitość i sumienność opłacają się tym bardziej, że w miejsce dawnej premii regulaminowej wprowadzono miesięczną premię uznaniową, o której wysokości i przyznaniu decydują komisje.

W roku ubiegłym przedsiębiorstwo osiągnęło blisko 95 mln zysku i to bynajmniej nie poprzez wzrost cen. Stosowano ceny umowne, uzgodnione wstępnie z grupami klientów. Po każdym kwartale analizowano rzeczywiste koszty remontów, a nadwyżki po prostu klientom zwracano. Za pierwsze 3 kwartały ubiegłego roku zwrócono aż 163 mln złotych.

Ubiegłoroczne podwyżki objęły wszystkich pracowników EZNS, a średni wzrost płacy miesięcznej wyniósł 750 zł na osobę. Obecnie średnie wynagrodzenie miesięczne wynosi tu 9800 zł, nie licząc rekompensaty. Już w grudniu wypłacono zaliczkowo część trzynastki – przeciętnie po 2500 zł na pracownika. Są i czternastki, z tytułu zysku przedsiębiorstwa. Te jednak traktowane są jako nagrody, a więc pracujący najgorzej i niezdyscyplinowani ich nie otrzymują.

Dzięki dobrej pracy w EZNS, mimo trudności z uzyskaniem od poddostawców wystarczającej ilości części zamiennych (szczególnie wałów korbowych, które trudno wytworzyć poza wyspecjalizowaną fabryką), a także farb, lakierów, klejów i smarów – ilość zamówień na remonty w Elbląskich Zakładach wcale nie zmalała (mimo że ze względu na oszczędności niektóre zakłady wolą je wykonywać obecnie we własnym zakresie). Rocznie nadal remontuje się tu około 2400 autobusów i dodatkowo kilkaset silników.

Powodzenie reformy gospodarczej w EZNS nie tkwi jednak tylko w trzech „S". Wynika ono przede wszystkim z mądrej polityki kadrowej, z troski o ludzi pracy, o czym jakże często gdzie indziej się zapomina.

STANISŁAW RUDUCHA

Odszedł JERZY ANDRZEJEWSKI – prozaik, dramaturg, eseista

Stało się to w nocy 19 kwietnia. Bolesna strata dla naszej literatury i dla nas, czytelników. Przywykliśmy, że nawet w ostatnich latach, gdy pisarz zakończył swą wieloletnią działalność publiczną, jego mądre słowa powstające w domowym zaciszu towarzyszyły nam, zmuszały do myślenia, do wyborów.

Bohaterowie utworów Andrzejewskiego, tych wczesnych – przedwojennych, z lat okupacji i tych które powstały ostatnio są zawsze ludźmi podobnymi do nas – zawieszonymi między dobrem a złem, samotnymi, zdanymi na własny wybór. Taki jest ksiądz – bohater „Ładu serca" – debiutanckiej powieści pisarza, tacy są Polacy przedstawieni w opowiadaniach „Przed sądem" i „Apel". ukazujących tragiczne przeżycia z czasów II wojny światowej. Nie inaczej odczuwa ciężar prawa wolnego wyboru Maciek Chełmicki z „Popiołu i diamentu" – dzieła do tej pory nie prześcignionego w dziedzinie literckiego przekazu skomplikowanej sytuacji politycznej i ideowej w Polsce po wojnie.

Wszystkie utwory Jerzego Andrzejewskiego, a było ich wiele, zrodziły się z wielkiego niepokoju, jaka będzie Nasza Polska. Dręczyły go też wątpliwości twórcze. Odbiciem pytania o sens twórczości artystycznej we współczesnym świecie, ujawnieniem fałszów i pozorów niektórych zjawisk sztuki współczesnej są powieści „Idzie skacząc po górach" i „Miazga".

Te niepokoje odbijały się też w jego dziennikowych literackich zapiskach, od których przez wiele lat czytelnicy tygodnika „Literatura" rozpoczynali lekturę pisma.

Jego twórczość miała charakter intymnego wyznania, głębokiego, wieloznacznego – zmuszającego czytelników do wgłębiania się w słowa, powracania do raz przeczytanych zdań. On sam nigdy nie cofał się do swoich książek już napisanych, nigdy ich nie czytał – szedł dalej i dalej... Dziękujemy mu za to. (**eb**)

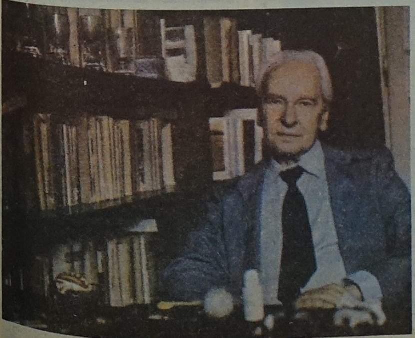

REKORDY NAJGŁĘBSZEGO Z OCEANÓW

Od dawna już wiadomo, że Ocean Spokojny jest największy pod względem powierzchni i objętości, oraz najgłębszy. Oto kilka najnowszych rekordów z obszaru tego oceanu.

- Wysokość Wielkiej Góry na Hawajach wynosi 4 km – jest to najwyższy z działających wulkanów na naszej planecie. Jeśli do nadwodnej części wulkanu dodać jego podwodną podstawę, to otrzymamy wielkość ponad dziesięciu kilometrów.
- Kilkadziesiąt kilometrów od najwyższych szczytów Andów leżą głębie oceaniczne – różnica wysokości wynosi blisko 15 km.
- Fale wysokie na kilka metrów wydają się już olbrzymie, a kilkudziesięciometrowe – przerażające. Na Alasce odkryto ślady fali, która nakryła górę na lądzie, osiągając wysokość około 600 metrów!
- Dwa najsilniejsze trzęsienia ziemi miały miejsce na dnie Oceanu Spokojnego. Energia wyzwolona podczas każdego z tych trzęsień była równoważna energii wybuchu ponad stu tysięcy bomb atomowych.
- Największa głębokość Rowu Mariańskiego przekracza 11 tysięcy metrów. najbardziej zdumiewa w podobnych utworach na dnie oceanicznym ich mała szerokość (kilku kilometrów) przy długości kilku tysięcy kilometrów.

JERZY ROMANOWSKI

NIE BOJĄ SIĘ MROZU!

BUŁGARIA (PAP). Bułgarscy naukowcy skonstruowali niezamarzające poidła automatyczne, przeznaczone dla bydła i owiec, odznaczające się stałym poziomem i temperaturą wody. Jedno poidło obsługuje 100–150 sztuk bydła lub 250 owiec, inne natomiast – 200–250 sztuk bydła lub 400–500 owiec.

Seryjna produkcja tych urządzeń rozpocznie się na początku przyszłego roku. (**kl**)

XXXX LAT LUDOWEGO WOJSKA POLSKIEGO

DROGI DO WOLNOŚCI

Zadanie 2

– Jakie wydarzenie miało miejsce w nocy z 17 na 18 września 1939 r. w miejscowości zaznaczonej na mapie czerwonym punktem?
– Podaj rok, w którym zaginął BOHATER tego wydarzenia.

Warszawie przybędzie nowy pomnik

(**PAP**). W 40 rocznicę powstania Polski Ludowej stanie na placu Konstytucji w Warszawie pomnik „Poległym w walce o utrwalenie władzy ludowej". Będzie to 17 metrowej wysokości kompozycja rzeźb i płaskorzeźb, w formie nieregularnych brył kamiennych i brązowych, tworzących grupę postaci – robotników i osłaniających ich żołnierzy. Projekt plastyczny pomnika, którego autorem jest prof. Bohdam Chmielewski, jest już gotowy, a kamień węgielny wmurowany zostanie jesienią br., podczas obchodów 40-lecia Ludowego Wojska Polskiego. (**ws**)

Złoty Trójkąt (5)

MEOSI – LUDZIE GÓR

Wśród górskich plemion Tajlandii Meosi, którzy sami siebie nazywają „Hmong" – „Wolnymi Ludźmi", są najliczniejsi (po Karenach, ale Kareni mieszkają na ogół na nizinach zdatnych do uprawy ryżu). Upodobali sobie najwyższe partie wzgórz, około 1500 metrów n.p.m. Wobec wszystkich „nie-Hmongów" trzymają zwarty front, nie bacząc na swe wewnętrzne podziały. Są z natury skryci i fanatycznie przywiązani do wolności.

To lud z pradawną tradycją, wspominają go chińskie kroniki sprzed ponad czterech tysięcy lat. Mieszkali ongi nad Jangcy, skąd wygnał ich – do prowincji Kansu – Wielki Cesarz Ii. Przez następne tysiąclecia historia o nich milczy, jako że Chińczycy wszystkie swe mniejszości – a wśród nich Hmongów – zwykli nazywać po prostu Nan-Man, czyli „Południowymi Barbarzyńcami".

Na nowo pojawiają się w kronikach, obok ludów Yao i Tai, w XII wieku naszej ery; ich siedzibą jest wówczas Hunan. Chiński kolos spycha ich coraz bardziej ku południowym krawędziom cesarstwa – do Jünnanu i Syczuanu. Tam nadal stanowią mniejszość paromilionową. Dopiero w XIX wieku, licznymi grupami przechodzą do Wietnamu, Laosu i Tajlandii. Ruch migracyjny trwa nadal. Większość tajlandzkich Meosów to osiedleńcy w pierwszym, bądź drugim pokoleniu, stale zasilani przez następne grupy przybyszów z Laosu. Liczba ich, szacowana wedle zdjęć lotniczych oraz średniej liczebności rodziny (żaden spis ludności terenów tych nie objął), sięga około 50 tysięcy.

Tylko nieliczne wsie, położone w miejscach szczególnie urodzajnych i dobrze nawodnionych, są zbudowane na stałe. Olbrzymia większość Meosów co kilka lat, gdy makowe pola tracą żyzność, zamienia siedziby. Wyszukują nowy szmat dżungli o odpowiedniej wilgotności i nasłonecznieniu, karczują go i palą. Podobną gospodarkę żarową prowadzą zresztą prawie wszystkie górskie plemiona. W dżungli powstają niepokojące leśników łysiny. Przyspieszają się procesy erozyjne. Hydrolodzy ostrzegają, że wyrąb lasów rychło spowoduje katastrofalne powodzie, powołują się na przykład Nepalu i Indii. Tajlandzka prasa bije na alarm, podbudowując w opinii publicznej politykę lansowaną przez kręgi policyjne: plemiona trzeba spędzić z gór na niziny.

Odosobniony był głos misji badawczej ONZ, która w 1969 roku przeprowadziła w Złotym Trójkącie studia terenowe pod kierunkiem prof. J.F. Phillipsa. Histeria jest bezpodstawna – stwierdzono – przynajmniej przy obecnym zagęszczeniu ludności. Ani gleby, ani system wodny nie są zakłócone przez gospodarkę żarową, bo plemiona wiedzą jak ją prowadzić. Są to zdolni, inteligentni rolnicy, kierowani doświadczeniem pokoleń. Wcale nie dewastują środowiska naturalnego. Teren do spalenia wybierają starannie – tylko tam, gdzie glebą są brunatno-czerwone glinki, które dobrze trzymają wilgoć i łatwo przechodzą proces rehabilitacji po zaniechaniu uprawy maku. Unikają zboczy o konfiguracji sprzyjającej erozji. Zresztą tropikalna przyroda jest agresywna i po kilku latach zabliźnia zadane jej rany.

Towarzyszący ekipie antropolog dodał z nieodpartą logiką, że jeśli plemieńców przeniesie się na niziny i zintegruje z chłopami tajskimi, to będą jeszcze biedniejsi: braknie dla nich dobrej ziemi, a świat zaniecha pomocy. Dopóty bowiem budzą zainteresowanie, dopóki są wierni swej barwnej i fantazyjnej, „egzotycznej" kulturze plemiennej. Jeśli ją stracą – zdegenerują się, zanim zdążą awansować cywilizacyjnie. Dlatego okazują głęboką mądrość broniąc się przed przyjęciem obywatelstwa Tajlandii oraz aktów prawnego nadania gruntów, na których gospodarzą. Byłby to pierwszy krok ku pośpiesznej, zgubnej asymilacji.

Meosi dzielą się na subplemiona Hmong Njua – „Błękitnych", Hmong Glor – „Białych" oraz nielicznych Hmong Gua Mba – „Pasiastych". Nie jest to zbyt ścisła klasyfikacja, choćby dlatego, że „njua" znaczy po meosku „zieloni", ale taka się potocznie przyjęła. Języki ich różnią się nieznacznie. Fizycznie wszyscy są podobni do Chińczyków, swych antropologicznych pobratymców i zachowali nieco obyczajów starej ojczyzny; na przykład pałeczki do jedzenia, które dziwią inne (prócz Yao) plemiona.

Osobliwe, że niemal z każdym klanem Meosów żyje w symbiozie parę rodzin Chińczyków z Jünnanu, a przeważnie też kilku, kilkunastu Karenów. Z Chińczykami, którzy pełnią rolę handlowych pośredników, doradców w interesach, lichwiarzy, a także mistrzów parzenia herbaty, Meosi porozumiewają się czystym dialektem jünnańskim. Z Karenami, zatrudnionymi w charakterze parobków i posługaczy opłacanych opium, mówią po kareńsku albo narzeczem północnotajskim. Rozumieją język Lahu. Są więc Meosi poliglotami, ich język natomiast jest sąsiadom nieznany. Nie z tego powodu jednak, lecz z racji swej legendarnej wojowniczości Meosi wzbudzają respekt zarówno Chińczyków, jak Karenów, choć sami także tych pierwszych obawiają się – jako ludzi przebiegłych i bezlitosnych, a tych drugich – jako arcymistrzów czarnej magii...

Lęk przed czarnoksięstwem Karenów wydaje sę przesadny, bo przecież Meosi mają ku obronie liczne zastępy własnych duchów i bogów. Najwyżej stoją: Yorso (który głosem pioruna karci ludzi, a błyskawicą zabija) oraz Yonglao (który patronuje uroczystościom Nowego Roku, w swym zastępstwie zsyłając na ziemię syna lub córkę; ma ich mnóstwo). Nieco niżej w hierarchii stoi Yawang, który przepytuje duszę zmarłych. Grzesznicy, zanim powrócą na ziemię w ramach reinkarnacji, odbywają pokutę, zresztą niezbyt ciężką: polega ona na gotowaniu ryżu dla istot niebiańskich, które – żeby nie umrzeć – muszą się dobrze odżywiać. Pasjami też lubią alkohol.

Czterej bogowie jedzą i piją najwięcej, bo pracują szczególnie ciężko, mianowicie trzymają na swych barkach cały świat, który jest płaski. Yorbo podpiera wschód, Yor Eh Bur zachód, Yor Hsor północ, a Yor Neng południe. Jeśli któryś zasapie się – przerzuca ciężar na drugie ramię. To powoduje trzęsienie ziemi.

Duchów jest mnogość nieprzeliczona, przeto wśród Meosów czarownicy cieszą się ogromną estymą, bo tylko oni potrafią dyrygować duchami opiekuńczymi przeciwko złym. Zwykły śmiertelnik, ojciec rodziny, zdolny jest co najwyżej dbać o dobre samopoczucie duchów domowych, składając im na specjalnej półeczce, zwanej kotang, żywnościowe ofiary. Zatrzęsienie groźnych duchów jest w górach, w dżungli, w strumykach, na polach – więc wszelkie przedsięwzięcia rolnicze muszą być poprzedzone ceremoniami przeprosin duchów za naruszenie ich spokoju. Czarownik jest przy tym konieczny. Tylko on potrafi przekonać duchy wielkie i pomniejsze, by przeniosły się w jedno miejsce pod rozłożystym drzewem –

jakby do schroniska, w którym mogą siedzieć spokojnie, nie wchodząc sobie nawzajem w paradę z rolnikami.

Pospolity czarownik ma na usługi tylko jednego ducha glunggler, niezbyt silnego. Na przykład, nie potrafi on wypędzać z człowieka upiorów przynoszących choroby. Od tego są szamani, którzy mają do dyspozycji po kilka duchów neng, znacznie skuteczniejszych w działaniu; niestety ich usługi są kosztowne. Glungglerowi wystarczy garnek ryżu, neng musi dostać przynajmniej koguta. Duchem specjalnie groźnym jest pusu-sublong, który ma kształt orła. To on powoduje nieszczęśliwe wypadki, nieodwracalne nawet przez szamana. Raz na rok Meosi organizują jednak trzydniowe polowania na pusu-sublonga i czasem udaje się go uśmiercić.

Duchy domowe są z natury łagodne i ściśle wyspecjalizowane. Najważniejszym i najbardziej łakomym jest glung-jong, który dba o drzwi oraz zarządza sforą poślednich duszków nadzorujących zwierzęta domowe; za to co rok dostaje ofiarę ze świni. Ściany są we władaniu sier-glunga, któremu na Nowy Rok przysługuje kogut. Środkiem chaty zajmuje się ehsorjineng; on także przepada za wieprzowiną, lecz musi się zadowolić jedną świnią na trzy lata. Każdemu wedle zasług. W żałobnych bębnach mieszkają glung-joury karmiące się resztkami wołowiny ze stypy. Specjalny duch yewtai emanuje z teściowej; ten jest niemiły, przynosi choroby lecz daje się przebłagać podarunkami. Osobnych opiekunów, zresztą traktowanych lekceważąco, mają oba domowe paleniska – duże i małe. Wreszcie w każdej chacie unosi się wiele nazier-glungów, duszyczek dzieci, które dopiero mają przyjść na świat. Gdy któreś z nich oblecze się w ciało noworodka, jeszcze przez trzy dni nie zalicza się do rodziny, lecz nadal do świata duchów. Dopiero po tym terminie ojciec odprawia ceremonię, mocą której niemowlę staje się Meosem, a duszyczka jego dzieli się na siedem odrębnych miniduszyczek mieszkających odtąd w oczach, uszach, ustach, nosie i sercu. Tam pozostaną aż do śmierci, chociaż niekiedy wychodzą na zewnątrz. To powoduje choroby. Ale istnieją szamańskie rytuały, którymi można zmusić dusze, by wróciły na właściwe miejsce. Gorzej po śmierci; niektóre dusze zostają przy zwłokach, inne reinkarnują się w nowej powłoce człowieczej, jeszcze inne wnikają w zwierzęta domowe, a nawet w drzewa. Ogromnie skomplikowane reguły rządzą tymi peregrancjami dusz i żaden Meos nie zna ich dokładnie. Ale każdy wie, że duszą jest także cień padający od człowieka. Przy pracy w polu trzeba bardzo uważać, żeby nie skaleczyć go motyką, bo to nieuchronnie spowodowałoby chorobę.

Własne dusze mają też pola makowe i ryżowe, krowy i świnie, a także złoto, srebro i pieniądze. Odpowiednimi ofiarami można te dusze skłonić, by zechciały zasilić gospodarstwo ofiarodawcy. Ważne jest oczywiście, by wszelkie rytuały religijne – jak i zajęcia gospodarcze – planować na pomyślne dni kalendarzowe, a wystrzegać się dni feralnych. Meosi dzielą każdy miesiąca na dwa i pół tygodnia. Tydzień liczy 12 dni. zamiast dat mają one nazwy: kurczaka, psa, świni, szczura, wołu, tygrysa, królika, smoka, węża, konia, kozy, małpy – i znów kurczaka. Dzień kurczaka jest najgorszy ze wszystkich – nic się nie uda. Dni złe: świni, szczura, wołu, konia i małpy. Dobre: tygrysa, królika, węża i kozy. Najlepsze są dni smoka, bo potężny, oraz psa, bo jest stworzeniem szczególnie przez bogów uprzywilejowanym: nie pracuje, a dostaje jedzenie!

Złożoność wierzeń meoskich, szczególnie zaś wielki apetyt cechujący bogów, duchy i szamanów, powoduje dotkliwe kłopoty bytowe. Głodne duchy są najbardziej złośliwe, powodują choroby, przeto ciągle należy składać im ofiary; im więcej chorych, tym więcej trzeba zarzynać domowej zwierzyny. Całkowity koszt leczenia bólu głowy sięga, na przykład, ośmiu świń, trzynastu kurcząt i wołu, przy czym skutek kuracji wcale nie musi być pomyślny, gdyż zdarzają się duchy wyjątkowo złe i uparte, nie dające się wygonić nawet przez czterech szamanów.

Z tego to powodu Meosi niechętnie sprzedają na rzeź zwierzęta, choć hodują ich wiele. I dlatego, aby zdobyć pieniądze na ryż, codzienne pożywienie, muszą zbierać opium. Gdy policja przeszkadza – zbierają się na powstanie.

WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI
Fot. **Jerzy Chociłowski**

Fragment książki W. Giełżyńskiego „Opiumowa dżungla", która ukaże się w 1983 r. nakładem Młodzieżowej Agencji Wydawniczej.

W wiosce górskich plemion Tajlandii

ODPOWIEDŹ JURIJA ANDROPOWA NA LIST AMERYKAŃSKIEJ UCZENNICY SAMANTHY SMITH

MOSKWA (PAP). Amerykańska uczennica z Manchesteru, w stanie Maine, Samantha Smith, przysłała do Jurija Andropowa list, w którym pisze, że ma 10 lat i bardzo się niepokoi, czy nie dojdzie do wojny atomowej między Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim. *„Czy pan jest za wojną, czy przeciwko? Jeśli przeciwko, to proszę mi powiedzieć, w jaki sposób ma pan zamiar nie dopuścić do niej?"*

Na list ten Jurij Andropow odpisał:

„Droga Samantho, otrzymałem Twój list, tak jak i wiele innych, które przyszły do mnie w tych dniach z Twojego kraju i z innych krajów świata.

Wydaje mi się, sądząc z listu, że jesteś odważną i uczciwą dziewczynką podobną do Becky, przyjaciółki Toma Sawyera ze świetnej książki twojego rodaka Marka Twaina. Książkę tę znają i bardzo lubią wszyscy chłopcy i dziewczynki w naszym kraju.

Piszesz, że bardzo niepokoisz się, czy nie dojdzie do wojny jądrowej między naszymi krajami, ponadto pytasz, czy robię coś, aby nie dopuścić do jej wybuchu.

Twoje pytanie jest najważniejsze z tych, które niepokoją każdego człowieka. Odpowiem ci poważnie i szczerze.

Tak, Samantho. My, w Związku Radzieckim staramy się robić i robimy wszystko, aby nie doszło do wojny między naszymi krajami, aby w ogóle nie było wojny na ziemi. Tego pragnie każdy radziecki człowiek. Tego uczył nas wielki twórca naszego państwa Włodzimierz Lenin.

Ludzie radzieccy dobrze wiedzą, jak okropna i niszczycielska jest wojna. 42 lata temu hitlerowskie Niemcy, dążąc do zapanowania nad całym światem napadły na nasz kraj, spaliły i zrujnowały wiele tysięcy naszych miast i wsi, zamordowały miliony radzieckich mężczyzn, kobiet i dzieci.

W tej wojnie, która zakończyła się naszym zwycięstwem byliśmy sojusznikami Stanów Zjednoczonych, wspólnie walczyliśmy o wyzwolenie spod okupacji nazistowskiej wielu narodów. Mam nadzieję, że wiesz o tym wszystkim z lekcji historii w szkole. Także dziś bardzo chcemy żyć w pokoju, handlować i współpracować ze wszystkimi sąsiadami na kuli ziemskiej – i z dalekimi, i z bliskimi. Oczywiście także z tak wielkim krajem, jak Stany Zjednoczone Ameryki.

Zarówno Ameryka, jak i my posiadamy broń jądrową – straszną broń, która może w jednej chwili zabić miliony ludzi. Jednakże nie chcemy, żeby ona została kiedykolwiek użyta. Właśnie dlatego Związek Radziecki uroczyście oświadczył całemu światu, że nigdy – nigdy! – nie użyje pierwszy broni jądrowej przeciwko żadnemu państwu. I w ogóle proponujemy przerwać dalszą produkcję tej broni i przystąpić do likwidacji wszystkich jej zapasów, zgromadzonych na Ziemi.

Wydaje mi się, że jest to wystarczająca odpowiedź na Twoje drugie pytanie: „Dlaczego chcecie opanować cały świat, a przynajmniej Stany Zjednoczone?" Niczego podobnego nie chcemy. Nikt w naszym, ogromnym i pięknym kraju – ani robotnicy, ani rolnicy, ani pisarze, ani lekarze, ani dorośli, ani dzieci, ani członkowie rządu nie chcą ani dużej, ani małej wojny. Chcemy pokoju – mamy się czym zajmować: wytwarzać chleb, budować, dokonywać wynalazków, pisać książki i latać w kosmos. Chcemy pokoju i dla siebie, i dla wszystkich narodów planety, dla naszych dzieci i dla Ciebie Samantho."

Jurij Andropow zaprosił amerykańską uczennicę Samanthę Smith do pionierskiego obozu w Arteku.

List J. Andropowa dotarł do Samanthy Smith za pośrednictwem Ambasady ZSRR w Waszyngtonie.

Ojciec Samanthy, wykładowca w uniwersytecie stanowym Maine w Augusta oświadczył reporterom amerykańskim, że córka była uszczęśliwiona otrzymawszy odpowiedź przywódcy radzieckiego i chętnie odwiedzi Związek Radziecki.

Pan Smith dodał, że list Andropowa jest „serdeczny, przyjacielski, bezpośredni i szczery".

NIE TYLKO ODKURZANIE EKSPONATÓW

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Sami!!! Chwalą się, ale mają czym. Ja na przykład tak ciekawej i niebanalnej lżby Pamięci jeszcze nie widziałam. Są bowiem lżby w wielu szkołach, często zamknięte na klucz, a to, co się w nich dzieje, to głównie... odkurzanie eksponatów.

Tu – jest inaczej. Wystarczy poczytać wpisy do wyłożonej zawsze księgi: obok uczniów z innych dzielnic Warszawy, którzy przybyli tu po prostu na lekcję historii, serdeczne słowa i pochwały wpisali bardziej egzotyczni goście – Algierczycy, Makonkańczycy, Rosjanie. Z dat wynika „czarno na białym", że goście są tu chlebem powszednim.

Ale szkoła żyje nie gośćmi przecież, tylko swoją codziennością, w której ta lżba Pamięci i jej opiekun mają własne, niepodważalne już i ważne miejsce. Lekcji polskiego, historii, PO, wychowania obywatelskiego zupełnie inaczej się słucha i łatwiej rozumie; naturalniej przyswaja to właśnie, na czym tak zależy nauczycielowi: dumę z naszej historii, z przynależności do bohaterskiego narodu. Łatwiej i prościej – gdy

HISTORIĘ MA SIĘ WOKÓŁ JAK NA DŁONI

Zespół Szkół Budowlanych w Warszawie, przy ulicy Księcia Janusza 45/47. Szkoła często opisywana, również i przez „Świat Młodych". Na piętrze, w narożniku korytarza, brzozowe krzyże, tabliczki – jak na warszawskich Powązkach. Symbol klęsk i pożogi II wojny światowej. Tak wchodzi się do lżby Pamięci w tej szkole.

Pokój dość duży, dobrze oświetlony. Drewniana boazeria. Wzdłuż ścian gabloty i półki. Na nich broń, kawałki min, gąsienic polskich czołgów – zardzewiałe, szczerniałe – autentyczne. Sztandar, części munduru Ludowego Wojska Polskiego, uzbrojenia, odznaczenia, pieczołowicie wyczyszczony orzełek na polskiej czapce, dokumenty.

Środek pokoju pusty. Na zawsze czystej wykładzinie siadają uczniowie, gdy odbywają się lekcje. Wszystko, co tu zgromadzono, symbolizuje **Wysiłek Zbrojny Polaków w latach 1939–1945 na wszystkich frontach.** Eksponaty posegregowane chronologicznie:

Wydarzenia 1939 roku, zbrojna walka Polaków na Zachodzie;

Walka w kraju (powstanie);

Szlak walk Ludowego Wojska Polskiego.

Gehenna narodowa – i zwycięstwo.

Historia jest tu bardzo bliska i codzienna. W gablocie wśród innych przedmiotów leży „kenkarta" – własność powstańca warszawskiego ze zgrupowania AK „Chrobry", dziadka jednego z uczniów tej szkoły. „Kenkarta" ma niedużą dziurkę o osmolonych brzegach – ślad po kuli. Dziadek-powstaniec miał na piersi portfel z ową kenkartą, gdy trafił go niemiecki „gołębiarz". Strzał był śmiertelny, prosto w serce...

Pod sufitem – czasza spadochronu, a właściwie tzw. pilocik – urządzenie wyciągające zasadniczy spadochron. Trafił tu dzięki opiekunowi lżby, byłemu lotnikowi – wprost z jego jednostki.

I można by tak długi i namiętnie, przedmiot po przedmiocie opisać. Ale ważne jest jedno: że uczą się tu dla siebie, że dużo wiedzą i rozumieją, że historia to nie tylko książka i dwója lub czwórka w dzienniczku.

Ktoś oddał cenną pamiątkę rodzinną; człowiek ze zdjęcia, dziadek jednego z uczniów, zginął zastrzelony przez „gołębiarza"

Te zbiory zgromadzono w ciągu pięciu lat

CHCIEĆ – TO MÓC

Nauczyciel historii i przysposobienia obronnego, wychowawca klasy IIIa stolarskiej, **pan Ryszard Mroszczyk,** był oficerem lotnictwa, wychowawcą młodych żołnierzy. Z II Armią Wojska Polskiego uczestniczył w operacji berlińskiej. Walczył także na ziemi czeskiej pod Mielnikiem i Pragą. Ma dwa Krzyże Walecznych, Krzyż Kawalerski, medal „Zasłużony dla lotnictwa". Gdy po latach służby wojskowej przeszedł w stan spoczynku, ani przez myśl mu nie przeszło nic nie robić! Zawsze znajdował wspólny język z podwładnymi, łatwo nawiązywał kontakty z ludźmi. Odezwały się w nim teraz ciągoty pedagogiczne. Coraz mniej osób rwie się dziś do uczenia w szkole, a on – tak! Podobała mu się młodzież w tej szkole zawodowej – zawadiacka, chłonna i – jak twierdzi – wdzięczna. Szybko został zaakceptowany. Młodzież lubi go i ceni. Uwierzyli jego ideałom, a więc temu, co im przekazuje. Stara się wyrabiać w nich postawę patriotyczną na co dzień – w pracy, nauce, w domu. Trafił na grunt podatny – to w nich leży!

Pan Mroszczyk jest inspiratorem powstania lżby Pamięci w szkole. Postanowił przede wszystkim, że skoro uczniowie są z różnych stron Polski, należy z tego skorzystać. Zachęcał ich jak mógł – widać skutecznie – by ściągali do szkoły wszelkie pamiątki II wojny, które znajdą lub dostaną w swoich rodzinnych stronach. Przywozili różne przedmioty zebrane w czasie wakacji, wykopane, wyproszone od rodziców; przywozili i sami rodzice, sporo też otrzymali od zaprzyjaźnionych ze szkołą pensjonariuszy Domu Zasłużonego Pracownika Budownictwa i ZBOWiD. Początkowo pan Mroszczyk brał wdzięcznie wszystko – zaczynali przecież od zera. Podsuwał tylko, co należy zbierać. Przestrzegał przed „zardzewiałą śmiercią", prosił o rozwagę. Uprzedzał też lojalnie: – Gdybyś z tym poszedł, bracie, na warszawski pchli targ, dostałbyś trochę forsy. Tu – wpiszemy cię do Księgi Ofiarodawców; kiedyś pochwalisz się swoim dzieciom...

Teraz już grymasi. Ekspontów nazbierało się od roku 1977 tyle, że może wyposażać nimi i inne, uboższe, a może mniej zaradne szkoły nie tylko z Warszawy. Trochę z tym zawracania głowy, to prawda, bo wszystko jest dokładnie ewidencjonowane; ale pomóc trzeba.

Życie szkoły, jak wszędzie, jest zwykłe i montonne. Częścią tej zwyczajności, ale prawdziwą, bez patosu i wszelkiej sztuczności jest ta Izba Pamięci.

Szkoda bardzo, że mało jest ludzi, którzy jak pan Mroszczyk potrafią swą pasją tak skutecznie zarazić innych...

KRYSTYNA KLIMOWICZ
Fot. **Marek Szymański**

TRENERSKI TANDEM

Czwórbojowi mocarze

Różnokolorowe koszulki migają między drzewami. Po chwili z zielonej ściany lasu wypada pierwsza grupa biegaczy. Na czele nieduży, miękko biegnący blondynek. Do mety zostało tylko 200 metrów. Tłum młodych kibiców skanduje chóralnie: tempo, tempo... Trwa zacięta walka na finiszu. Ostatnim wysiłkiem zwinny chłopak odpiera ataki rywali. Jest pierwszy. Nazywa się Janek Kmieć i jest uczniem Szkoły Podstawowej nr 7 w Starogardzie Gdańskim a biegi przełajowe są jego specjalnością.

Chyba nikt się nie spodziewał, że Szkoła Podstawowa ze Starogardu Gdańskiego zajmie i miejsce w krajowym czwórboju. Jedyną osobą wierzącą w sukcesy ambitnych starogardzian był ich trener **Stanisław Wieczorek.** Człowiek bez reszty oddany lekkoatletyce i siatkówce. Jego podopieczni odnieśli wiele cennych sukcesów. Między innymi zdobyli mistrzostwo Wybrzeża w piłce siatkowej, wielokrotnie zajmowali i miejsca w biegach przełajowych, no i zdobyli puchar naszej redakcji. Współtwórcą tych sukcesów był drugi trener – **Leszek Rykaczewski.** Współpraca tego tandemu od kilku już lat przynosi szkole wiele sportowych satysfakcji.

W nagrodę za zajęcie I miejsca otrzymano 50 000 złotych na sprzęt sportowy, który, radość skończyła się dość szybko. Wymarzonych dresów i kolców w sklepach brakowało, a termin realizacji premii upływał z dniem 1 grudnia. Było natomiast pod dostatkiem sprzętu zimowego, toteż trener, rad nie rad, zakupił narty, sanki i łyżwy. Oczywiście lekkoatleci w łyżwach nie startują, ale przynajmniej w przyszłej zimie skorzystają ze ślizgawki. Zresztą niedobór wyposażenia treningowego to bolączka wszystkich szkół. I z tym trzeba się pogodzić, ale można się wykazać pomysłowością.

W „siódemce" są pomysłowi ludzie. Nie było zeskoku. Wobec tego własnym sumptem zrobiono go, używając do tego celu... fawieczek i filcu. Była tylko jedna poprzeczka, ale i ta ze starości rozpadła się. Między stojakami wisi więc niepotrzebna dotąd nikomu rura od centralnego ogrzewania albo zwykła guma, co chłopcom wcale nie przeszkadza. Skok wzwyż jest ich silną stroną. Na jesieni wszyscy regularnie skakali w granicach 150 cm. Teraz trener liczy na jeszcze więcej. Przygotowanie skocznościowe jest zadowalające. Podobnie jeśli chodzi o wytrzymałość. Kilku zawodników udowodniło dobre wytrenowanie, o czym świadczą czołowe lokaty w niedawnych wiosennych biegach przełajowych. Ich piętą achillesową są rzuty. Ale warunki fizyczne mają odpowiednie, są dobrze zbudowani i jest szansa, że wyeliminują istniejące „usterki".

Cały okres jesienno-zimowy starannie przepracowali pod kątem zbliżającego się powtórzonego finału. Oprócz zajęć w klubie (są członkami MZKS „Wierzyca") do później jesieni trenowali na stadionie, a następnie kontynuowali intensywne ćwiczenia na sali. W międzyczasie byli na dwutygodniowym obozie kondycyjnym w Krynicy Górskiej. Nie pozostawali bierni także w trakcie ferii zimowych. Spotykali się systematycznie na zajęciach o charakterze sportowo-zabawowym. Podczas ostatnich ferii świątecznych szkoła zorganizowała im obóz w Starogardzie, który miał być ostatnim szlifem formy przed sezonem wiosennym. Zarówno chłopcy jak i trener są w dobrych nastrojach. A ponieważ omijają ich kontuzje – mogą spokojnie uczestniczyć w przygotowaniach. Żeby jeszcze mieli lepszy sprzęt... Ich optymizm podziela inspektor pan **Grubba** (ojciec naszego najlepszego pingpongisty Andrzeja). Jest on wielkim entuzjastą sportu, żywo interesuje się problemami młodzieży, służy radą i bogatym doświadczeniem. Sukcesy szkoły nr 7 są po części i jego zasługą.

Biegi, zwłaszcza na długich dystansach, są mocnym atutem chłopców ze Starogardu Gdańskiego. Potwierdzili to zresztą podczas ubiegłorocznych zawodów

Znakomita praca z młodzieżą i sukcesy mogą stanowić prawdziwy wzorzec dla innych szkół starogardzkich i nie tylko. „Siódemka" odnosi ich więcej aniżeli szkoły posiadające klasy o profilu sportowym. Ten fakt jest bardzo wymowny, a jednocześnie skłania do smutnych refleksji.

Obaj trenerzy bardzo liczą na swoich chłopców. Ich optymizm opiera się na tym, że posiadają bardzo wyrównaną i ambitną drużynę. Tworzą ją: **Jan Kmieć, Mariusz Data, Jarek Zieliński, Mariusz Megger, Andrzej Nadolski i Wojtek Myszka.** Mocno wierzą, że uda im się powtórzyć ubiegłoroczne zwycięstwo, co zagwarantuje im paszporty na zawody międzynarodowe. A jak głosi porzekadło: wiara w siebie – to połowa sukcesu.

ANDRZEJ BACZYŃSKI
Fot. **Z. Przybyłowski**

Ludmiła Kasatkina gościła w Warszawie

GWIAZDOZBIÓR

Z okazji Wiosennych Spotkań z Filmem Radzieckim na naszych ekranach możemy znów oglądać tak interesujące pozycje jak – fantastyczny film Andeirja Tarkowskiego – „Stalker", „Agonię", Elema Klimowa, „Syberiadę" Andrieja Michałkowa – Konczałowskiego, film „Moskwa nie wierzy łzom" – Władimira Mieńszowa, młodzieżowy obraz „Zbyt krótka noc", „Jesienny maraton" Grigorija Danielija i „Niech żyje Meksyk" Siergieja Eisensteina. Są to filmy wybitne, wielokrotnie nagradzane, znane i podziwiane także u nas. Najmłodszy z nich – „Agonia" wszedł do rozpowszechniania w naszym kraju już w zeszłym roku (powstał w roku 1981).

Filmy te cieszyły się powodzeniem u polskiej publiczności. Wszystko wskazuje na to, że ich sukces powtórzy również jedna z premierowych pozycji radzieckiego repertuaru, czyli film „Matka Maria" w reżyserii Siergieja Kołosowa.

Jest to dramat oparty na faktach autentycznych. Jego bohaterka to rosyjska poetka – emigrantka, która całkowicie poświęciła się działalności dobroczynnej, a w czasie II wojny światowej walczyła we francuskim ruchu oporu. Odtwórczynią tytułowej roli jest Ludmiła Kasatkina – żona reżysera filmu, wybitna aktorka teatralna i filmowa, wykładowca na wydziale aktorskim Instytutu Teatralnego. Z okazji Spotkań gościła wraz z radziecką delegacją w Polsce i miała okazję podzielić się z widzami swoimi przemyśleniami i uczuciami wywołanymi pracą nad tym niezwykłym filmem.

– *By zagrać tę wyjątkową, niesłychanie złożoną wewnętrznie kobietę musiałam ją zrozumieć, pojąć co było w niej najsilniejsze: wiara w Boga, umiłowanie poezji czy miłość ojczyzny i pragnienie pokoju. Chciałam znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego przywdziała szaty zakonne i co dało jej tę ogromną moc i umiejętność poświęcania się dla ludzi. Rozmawiałam z tymi co ją znali, którzy towarzyszyli jej w ostatnich chwilach w obozie zagłady w Ravensbrück. Odwiedziłam miejsca gdzie żyła, prześledziłam jej skomplikowane losy i myślę, że zrozumiałam co czuła i jak myślała. Widzowie to osądzą.*

Ludmiła Kasatkina od 1947 roku, czyli od chwili ukończenia aktorskich studiów do dziś występuje w Centralnym Teatrze Armii Radzieckiej, na deskach którego stworzyła wiele znakomitych kreacji. Zagrała w 20 filmach fabularnych. Najlepiej pamiętamy ją z roli Zinaidy Worobiowej w obrazie „Zapamiętaj imię swoje", za którą otrzymała Nagrodę Państwową i nagrodę za kreację na I Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku w 1974 roku. Występowała też w telewizji w filmach swego męża Siergieja Kołosowa. Oglądaliśmy ją np. w szklanym okienku jako Marię Zacharczenko w „Operacji Trust". Utalentowana muzycznie aktorka grała też w dwóch telewizyjnych filmach muzycznych osnutych na kanwie operetek Kalmana – „Fiołka z Montmartre" i „Księżniczki Czardasza". Jej ostatnia kreacja – matki Marii – jest hołdem oddanym tej mało znanej w Związku Radzieckim bohaterce najcięższych lat historii tego kraju, kobiecie o której mówiono, że nie potrzebowała dla siebie niczego prócz zakonnej sukni, żołnierskiego łóżka, dwóch prześcieradeł i pary butów. Aktorka uważa ostatnią swoją pracę za najbardziej znaczące doświadczenie artystyczne w karierze. Sądzimy, że odczucia publiczności będą podobne. **(eb.)**

Skrzynka kontaktowa

● **Małgorzata Krych, ul. Dworcowa 7/16, 64-730 Wieleń** – zbiera aktorów i piosenkarzy.

● **Sławomira Orzechowska, ul. Dworcowa 7/13** ma te same zainteresowania co jej sąsiadka.

● **Sylwia Dzikowska, Osiedle XX-lecia, 26/22, 57-200 Ząbkowice Śl.** – interesuje się Marilyn Monroe, Jane Fondą, Gretą Garbo, Giną Lolobrigidą, Aniołkami Charliego, BB i Sophią Loren, – w zamian zdjęcia i wiadomości o innych aktorach.

● **Dominik Kosterwa, ul. Broniewskiego 14/1, 32-500 Chrzanów** – interesują go materiały i zdjęcia n/t. Bruce'a Lee. W zamian wyśle fotosy innych popularnych aktorów i plakaty zespołów.

● **Włodzimierz Dzwończyk, ul. Ratowników 4/30, 59-320 Polkowice** zbiera widokówki psów i kupi książki n/t hodowli i tresury tych zwierząt. Szczególnie zależy mu na książce pt. „Psy, rasy, wychowanie".

Fot. CAF

Spódnica w jeden wieczór

Wiadomo, że najprostsza do własnoręcznego wykonania spódnica, to tzw. „w gumkę". Żadnego krojenia! Zszywa się materiał, żeby stanowił dość szeroką (co najmniej 1.30–1.40 m) rurę, podwija u góry, w powstały w ten sposób tunelik wciąga się gumkę (albo pasek z tego samego materiału– do ściągania i wiązania), obrębia dół i – gotowe. Jak się szwy wykonuje maszynowo, to półtorej godziny wystarczy szyjąc ręcznie – trzeba czasu trochę więcej, ale filozofia, w każdym wypadku, to żadna!

I to jest zaleta. Ale ma taka spódnica i wadę. Mianowicie dobrze w niej będzie wyglądała jedynie dziewczyna bardzo wiotka w biodrach. Z myślą więc o tych z Was, którym natura tej wiotkości poskąpiła, postanowiłam przypomnieć banalny i stary jak świat fason spódniczki lekko rozkloszowanej, przylegającej do bioder i rozszerzającej się ku dołowi, której wykonanie również nadzwyczajnych krawieckich talentów nie wymaga. Po skrojeniu po prostu się ją zszywa, wykańcza u góry paskiem, u dołu podwija – i to wszystko. Szycia jest na tyle mało, że i ręcznie można sobie taką spódnicę wykonać. I też jeden wieczór na jej wykonanie wystarczy.

Istnieją dwie wersje takiej spódnicy: z jednym szwem z tyłu albo z dwoma szwami po bokach. To zależy od tego, jakim materiałem człowiek dysponuje.

Na uszycie spódnicy z jednym szwem trzeba mieć kwadrat materiału o wymiarach 1.20 m x 1.20 m. Przy jednym z jego rogów zaznaczamy sobie trójkąt równoramienny, którego najdłuższy bok będzie miał 60 cm (ma to być obwód talii, więc jeśli ktoś ma w pasie więcej, to ten bok trójkąta też musi być odpowiednio większy). Punkty A i C tego trójkąta trzeba oznaczyć szpilkami. Następnie na każdym z boków kwadratu odmierzamy odcinki o długości 70 cm (to długość spódnicy) A-B oraz C-D; punkty B. i D. także zaznaczamy szpilkami. Wzdłuż przekątnej kwadratu odmierzamy 5-centymetrowy odcinek M-E (punkt M. to linia przecięcia najdłuższego boku trójkąta równoramiennego z przekątną kwadratu), punkt E. zaznaczamy szpilką. Po przekątnej odmierzamy odcinek E-G (wynosi również 70 cm; ta długość będzie się zresztą ciągle powtarzała, jak np, w zaznaczonym na rysunku odcinku K-L czy w innych, które sobie przy krojeniu trzeba dla kontroli zaznaczyć; ta kontrola jest konieczna, żeby spódnica była równej długości), punkt G. zaznaczamy szpilką. Łącząc ze sobą punkty A. E. G (i inne kontrolne jak np. K) oraz B,G,D i inne kontrolne jak np. L) otrzymamy wykrój spódnicy. Wykrój powinien być i na górze (A-E-C) i na dole (B-G-D) zaokrąglony. Po wykrojeniu zszywamy ze sobą odcinki A-B i C-D i podstawową pracę zwieńczaną z uszyciem spódnicy mamy już za sobą.

Uwaga! Ponieważ szew wypadający z tyłu tej spódnicy powstaje niejako z połączenia szerokości z długością materiału, nadają się na nią jedynie materiały gładkie, w kwiatki oraz inne drobne wzorki typu rzucik np. kropki.

Natomiast spódnica z dwoma szwami bocznymi może być wykonana z materiału o dowolnym wzorze, tu już żadnych ograniczeń nie ma.

Na jej wykonanie potrzebne będą dwa kwadraty o wymiarach 0,90 m x 0,90 m. czynności przy przygotowaniu wykroju są podobne, tyle że odcinek A-C również się powinien połowie obwodu w talii (bo to jest połowa spódnicy), a odcinki A-B i C-D o długości 70 cm odmierzamy nie na boku kwadratu (nie starczyłoby go zresztą), ale nieco skosem. Reszta – jak w poprzednim wykroju. I tak jak w poprzednim wykroju zarówno góra (A-E-C) jak i dół (B-G-D) powinny być skrojone półokrągło. Wykrój należy wykonać dwukrotnie.

Przyjęta tutaj długość spódnicy (70 cm w czystym wykroju, minus to, co odejdzie na zakład), to jest taka długość tradycyjnie do kolan. Jeśli ktoś chciałby spódniczkę o długości mini, trzeba sobie wykrój skorygować i obliczyć o ile mniej materiału będzie potrzeba (skraca się – na rysunku od dołu).

Tak jak wspomniałam na początku ten fason (w obydwu jego wersjach) nie jest żadnym odkryciem, ale myślę, że czasem warto sobie przypomnieć o rzeczach znanych i prostych. I nie tylko przypomnieć, ale i skorzystać.

RIUSZKA

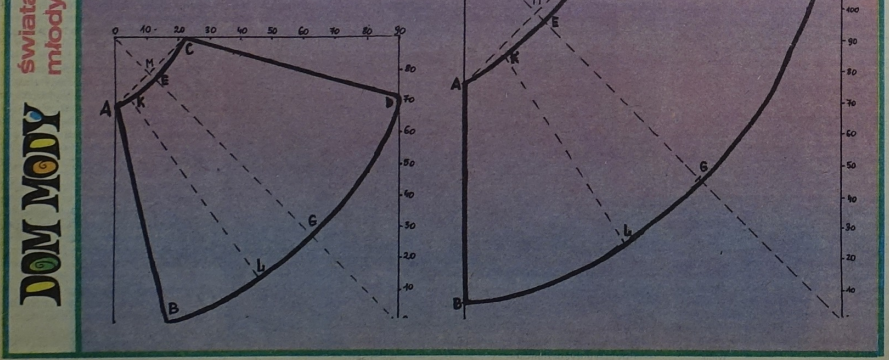

Z NOTATNIKA FILATELISTY

Ministerstwo Łączności wprowadziło w dniu 24 marca br. do obiegu pocztowego emisję sześciu znaczków przedstawiających symbolicznie faunę i florę w warunkach niezakłóconej równowagi biologicznej. Na znaczkach poszczególnych wartości przedstawiono:

- 5 zł – bukiet polnych kwiatów na tle zboża,
- 6 zł – ryby, łabędzie i nenufary,
- 17 zł – ptaka dudka na tle drzew,
- 30 zł – latające ryby i żaglówkę,
- 31 zł – sarny i żubra w lesie,
- 38 zł – kosz z owocami.

Na wszystkich znaczkach umieszczono ponadto międzynarodowy znak ochrony środowiska.

Znaczki zaprojektował artysta plastyk Stefan Małecki, który jest między innymi autorem bloczka „Piękna jesteś rzeko Wisło" nagrodzonego przez Międzynarodowe Jury Sztuki Filatelistycznej w Assiago (Włochy) w roku 1982 pierwszą nagrodą specjalną za najlepszy znaczek w świecie w dziedzinie ekologii.

Znaczki zostały wydrukowane na papierze kredowym techniką wielobarwnej rotograwiury w nakładach wielomilionowych.

W dniu wprowadzenia do obiegu pocztowego w sprzedaży były trzy ozdobne koperty pocztowe FDC, które opatrzone zostały okolicznościowym kasownikiem stosowanym w Urzędzie Pocztowym Warszawa 1.

PIOTR WIECZOREK

Załoga „Sojuza T-8" nie połączyła się z „Salutem-7"

20 kwietnia br. wystartowała trzyosobowa załoga na statku kosmicznym „Sojuz T-8". Program lotu przewidywał połączenie się statku z krążącą wokół Ziemi stacją orbitalną „Salut-7". Początkowo lot przebiegał zgodnie z planem, dopiero gdy przyszło do realizacji operacji połączenia wystąpiły odchylenia od z góry zaprogramowanego harmonogramu. W tej sytuacji kierownictwo naziemne lotu, nie chcąc ryzykować wydało polecenie zaniechania połączenia statku ze stacją orbitalną. Po dwóch dniach pobytu w kosmosie załoga szczęśliwie wylądowała. Od lat już tak przywykliśmy do wypraw kosmicznych, że stały się one niemal codziennością. Zapominamy, że kosmos nadal jest dla ludzi środowiskiem nieprzyjaznym, że każdy lot zawiera ogromne ryzyko. Tym razem wszystko zakończyło się pomyślnie, a zdobyte doświadczenia na pewno wykorzystane zostaną w dalszych pracach konstrukcyjnych, maksymalnie zabezpieczających niczawodne funkcjonowanie wszystkich mechanizmów, a tym samym i życie kosmonautów.

Oto trzyosobowa załoga statku „Sojuz T-8", tuż przed startem. Od lewej: kosmonauta badacz Aleksander Sieriebrow, dowódca statku ppłk. Władimir Titow i lotnik-kosmonauta Gienadij Striekałow

Fot. CAF–TASS

Dziś dla miłośników UFO mamy niespodziankę, która przedstawia Wojciech Gargula w korespondencji pt. „Eterianie – przybysze z całkiem innego świata". Tyle hipotez wymyślono na temat latających spodków, że jeszcze jedna więcej nikomu nie zaszkodzi. Eterianie są jednak pomysłem tak fantastycznym, że opowieść o nich zdaje się być piękną bajką.

PREZES

Kosmiczny jadłospis

Coraz dłużej ludzie przebywają w kosmosie. Muszą więc mieć zapewnione odpowiednie odżywianie. Co jedli na przykład na orbicie płk Paweł Popowicz i ppłk Jurij Artiuchin? Otóż na pokładzie „Saluta-3" umieszczono specjalny kredens kosmiczny i stół do spożywania posiłków. W kredensie znalazły się zapasy bogate w sole mineralne, witaminy, węglowodany i tłuszcze. W sumie dzienna porcja dla jednego kosmonauty zawierała 3 tys. kalorii, czyli o wiele więcej niż dla załóg amerykańskich statków kosmicznych typu „Apollo" i radzieckich typu „Sojuz". Załoga „Saluta-3" jadła trzy razy dziennie – za każdym razem coś innego. Te same potrawy mogły powtarzać się co trzy dni. Tego rodzaju odżywianie sprzyja właściwemu trawieniu i przyswajaniu przez organizm 90% spożytych pokarmów.

Na śniadanie radzieccy kosmonauci jedli np. konserwowe wędliny, chleb pszenny, miód, kawę z mlekiem, ciasteczka witaminizowane. Na obiad: kapuśniak, bekon, chleb sitkowy, pałeczki owocowe, masło z orzechami, sernik, ciasteczka witaminizowane. Nie mniej obfite i smaczne były kolacje. Na specjalne życzenie kosmonautów włączono do jadłospisu sos „Moldawa". Duże znaczenie przywiązuje się nie tylko do kaloryczności smaku zabieranych w kosmos produktów żywnościowych, ale także do ich masy. Trzeba bowiem pamiętać, że na wprowadzenie w przestrzeń kosmiczną 10 g bagażu zużywa się 50–60 g paliwa.

W powieściach fantastycznych czyta się często, że kosmonauci w kosmosie łykają jedynie pigułki, które niewiele ważą, ale „wiele mogą". Rzeczywistość jest jednak inna. Aktualnie można liczyć tylko na możliwość kondensowania witamin, białka, węglowodanów, tłuszczów itp., bez tych składników organizm ludzki nie jest zdolny nie tylko do pracy, ale i do życia. Zlecone kosmonautom 3 tys. kalorii dziennie było zawarte w 585 g, a dobowa racja żywnościowa wynosiła 1300–1400 g (1,4 kg), nie licząc opakowania. Opakowania te były przystosowane do przechowywania żywności w temperaturze 25°C w warunkach nieważkości. Do tych warunków przystosowano również kosmiczne meble: kredens, stół i przyrząd do podgrzewania produktów, a także sztućce, otwieracze do konserw itp. Wszystko zaprojektowano tak aby kosmonauci mogli wygodnie i smacznie zjeść o żeby produkty oraz naczynia nie „latały" po kabinie.

Dariusz Dynia
ul. Legnicka 31c/12
55-300 Środa Śląska

ETERIANIE – PRZYBYSZE Z CAŁKIEM INNEGO ŚWIATA

Najpowszechniej mniema się, że latające spodki przybywają w okolice Ziemi z jakiejś odległej planety, dysponującej nie znanymi nam możliwościami technicznymi. Jest jeszcze inna, bardziej fascynująca interpretacja tego zjawiska (które zresztą być może w ogóle nie istnieje). Oto twierdzi się, że niezidentyfikowane obiekty latające przenikają do nas z całkiem innego świata, w którym panują zupełnie inne prawa fizykalne i który pozostaje dla nas niewidzialny. Zjawiają się i znikają, a raczej materializują się i dematerializują. Na określenie tego zjawiska uczeni sięgają do terminów zaczerpniętych ze współczesnej fizyki relatywistycznej. Powiada się mianowicie, iż UFO przenikają z innego czasoprzestrzennego continuum i że proces ten można określić jako konwersję energii, w wyniku czego stają się one dla nas widoczne i namacalne, choć przedtem były zjawiskami eteryczymi. Eteryczny- mi w dosłownym sensie. Tak przynajmniej ujmuje tę sprawę dr Mead Layne, który pasażerów latających spodków nazywa wręcz **Eterianami.** I dalej powiada, że styl tych pojazdów jest eteryczną stałą, bowiem prototypy wszystkich naszych metali istnieją w tym drugim świecie zbudowanym z materii eterycznej.

Zmaterializowanie się jakiegoś obiektu w naszej czasoprzestrzeni oznaczałoby jednak jednoczesne zdematerializowanie się go w tamtej drugiej i vice versa. Tak jak istnieje szersze, niż my to potrafimy uchwycić okiem i uchem, widmo barw i dźwięków, może również istnieć szersze widmo namacalności – twierdzi dr Mead Layne. A my zdolni jesteśmy poznać dotykiem jedynie przedmioty utworzone z materii znajdującej się w pewnym tylko wycinku owego widma.

Materia, która nas otacza i z której uformowane zostało nasze ciało, jest w gruncie rzeczy niesłychanie rozrzedzona, odległość pomiędzy jądrami atomów a okalającymi je elektronami jest stosunkowo tak olbrzymia, iż można by powiedzieć, że atomy składają się głównie z pustki. Powyższe zdanie jest zgodne z wynikami badań współczesnej fizyki nuklearnej. Ale następne trzeba by już przyjąć na wiarę. Mianowicie, iż materia świata, z którego przybywają UFO, jest tak gęsta, że przez ziemską materię może przechodzić całkiem swobodnie, bez żadnego prawie tarcia. Lecz jeśli zwolnione zostanie tempo jej wibracji, materia tamtego świata staje się rzadsza i może być przez mieszkańców tego świata dostrzeżona, co właśnie ma ponoć miejsce w przypadku latających talerzy.

John A. Keel w swej książce „UFO – Operation Trojan Horse" tak pisze o pasażerach latających spodków: „Szatan i podległe mu demony zdolne były – jak to przedstawione bywało w literaturze – pojawiać się w każdej prawie postaci, od aniołów poczynając, a na potworach z jarzącymi się ślepiami kończąc. W niektórych utworach mamy do czynienia z nader osobliwymi zjawiskami i przedmiotami, co właśnie bardzo przypomina latające spodki i ich pasażerów, pojawiających się nagle i znikających, przechodzących przez mury i w ogóle dokonujących nadnaturalnych wyczynów". Tak więc, choć była mowa o czasoprzestrzennym continnum i o fizyce jądrowej XX wieku, znaleźliśmy się w samym centrum średniowiecza. ale brnijmy dalej.

Ufologowie stworzyli już mnóstwo teorii na temat napędu niezidentyfikowanych obiektów latających. Była m.in. mowa o antygrawitacji. W końcu niektórzy sięgnęli do arsenału, czy raczej powiedzmy, do lamusa okultystyczne- go. Tak np. John Keel powiada, że możemy wykluczyć hipotezy, iż owe cudowne maszyny są zrobione z tego samego tworzywa.. co znane z literatury okultystycznej tajemniczo pojawiające się i znikające domy. UFO nie latają, lecz…lewitują. Na jakiś czas przenikają w naszą czasoprzestrzeń z całkiem innego porządku fizykalnego. Lecz żeby tego dokonać potrzebują pobrać z naszego świata pewną ilość atomów – części samolotu, samochodu lub nawet także żywą materię i krew zwierzęcia i człowieka. Niekiedy także potrzebują zaczerpnąć energii z linii wysokiego napięcia, z motoru, samochodu, bądź z… człowieka.

Jak widzimy, nie jest to już nawet fantastyka naukowa, lecz coś, co raczej się kojarzy z bajdami o upiorach i wampirach rodem z głębokiego średniowiecza, choć przybrany- mi w bardziej nowoczesne kostiumy. Co prawda, najlatwiej jest wszystko działaniem sił demonicznych wytłumaczyć.

Wojciech Gargula
ul. Sztormowa 6D/7
80-335 Gdańsk-Oliwa

Przypominamy miłośnikom poezji

WKRÓTCE SPOTKANIE Z CYPRIANEM KAMILEM NORWIDEM

– Ja?! Ja mam silny charakter?

– Tak. I dlatego, Leno, bardzo cię proszę... Po ludzku... Nie rób tak więcej. Nie wiesz nawet, jakie to jest przykre...

I nagle jakbym zobaczyła go po raz pierwszy. Jego młodość, i to, że czerwieni się, i nerwowo przestępuje z nogi na nogę, i że tak mu trudno mnie prosić, poniżać się niemal przede mną. A jego dobre, bezbronne, niebieskie oczy przypomniały mi naraz inne oczy. Błagalne spojrzenie tej kobiety na drodze...

Myślałam, że tylko ja mam prawo się obrażać, a jemu nic nie szkodzi – przecież jest dorosły. Ale dorośli, jak się okazuje, także bywają bezbronni i tak samo łatwo jest ich zranić nietaktownym czy okrutnym zachowaniem.

Dlaczego ludzie stają się nieludzcy?

Może dlatego, że kiedyś dawno, kiedy mieli czternaście lat, pewnego razu przejechali obojętnie obok kobiety z chorym dzieckiem i nie zatrzymali się, żeby jej pomóc?

Ta kobieta chyba pozostanie przede mną na zawsze – w ciemnościach, na zaśnieżonej wiejskiej drodze, patrząca na mnie pełnymi wyrzutu oczyma.

– Przepraszam – powiedziałam cicho. – Ja już nigdy... Naprawdę... Wierzy mi pan?

– Dobrze – odparł historyk. – Wierzę ci...

Niezgrabnym ruchem poprawił spadający mu na oczy kosmyk, skinął mi głową i znikł w pokoju nauczycielskim.

Koniec

Za niecałe dwa tygodnie – 23 maja obchodzona będzie 100 rocznica śmierci Cypriana Kamila Norwida. Jego twórczość nie doceniana przez współczesnych – po latach zdobyła sobie należne uznanie. Dziś nazwisko Norwid wymieniane jest obok największych polskich artystów pióra, wieszczów narodowych: Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego i Zygmunta Krasińskiego.

Cyprian Kamil Norwid był nie tylko poetą, ale i dramaturgiem, prozaikiem, uprawiał także rzeźbę, malarstwo i rytownictwo. Zmarł w Paryżu, gdzie żył wiele lat borykając się z ciężką sytuacją materialną, samotny, lekceważony przez wydawców, nękany przez choroby...

Dopiero w Polsce powojennej wydane zostały po raz pierwszy wszystkie dzieła tego wielkiego twórcy. Aby przybliżyć czytelnikom wszechstronny dorobek artystyczny autora „Promethidiona", jego sztuki zostaną włączone do repertuaru teatrów w Krakowie, Wrocławiu, Łodzi i Warszawie. W stolicy – Teatr Narodowy wystąpił z premierą dramatu „Zwolon". Przegląd sztuk Norwida zainauguruje też w uroczystym dniu noszący jego imię teatr w Jeleniej Górze.

Miłośników twórczości Norwida ucieszy zapewne wiadomość, że do obchodów włączą się również wydawnictwa książkowe. Główny edytor dzieł Norwida – Państwowy Instytut Wydawniczy opublikuje w nakładzie aż 200 tysięcy egzemplarzy jego „Pisma wierszem i prozą", natomiast „Czytelnik" wyda znów ozdobne oprawne w skórę „Poezje" (i wyd. w zeszłym roku) oraz bibliofilską edycję „Czarnych kwiatów".

Nieco później i w skromniejszej szacie ukażą się inne dzieła pisarza i poety, a także książki poświęcone jego życiu i twórczości. Zostały one bowiem włączone do planów wydawniczych „Ossolineum", Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, Wydawnictwa Literackiego, Poznańskiego i Lubelskiego.

Urządzone też zostaną okolicznościowe wystawy m.in. w Muzeum Narodowym w Krakowie i w Muzeum Literatury w Warszawie.

Literacki, artystyczny dorobek Norwida nie przetrwał w całości do naszych czasów. Wiele jego prac rozproszyło się po świecie, albo pozgonie poety uległo zniszczeniu. Obchody setnej rocznicy śmierci będą okazją do zetknięcia się z tym, co po Norwidzie, dzięki usilnym staraniom, udało się uratować.

Nad przebiegiem uroczystości czuwać będzie specjalnie powołany komitet, w którego skład wchodzą pisarze, historycy literatury i sztuki, ludzie teatru, muzealnicy i działacze kulturalni. **(eb)**

RYSUNKI I TEKST

Christa

DZIEŃ SMIECHAŻY

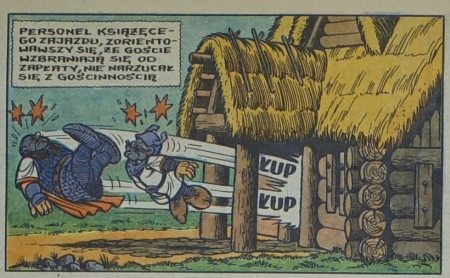

ŚWIAT MŁODYCH

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisława Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. naczj.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skorska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Marzena Wierzchołska (zastępca red. naczj.), Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).
TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13 (czynny w godz. 11–15)
TELEX 81-36-58
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Krzyżykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne
Inna Bojska
Opracowanie techniczne
Bogumiła Szczupakowska
Korekta
Bianka Abratowska-Lisowska
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 1733/G M-107

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UŚMIECH NUMERU

NIEPOZORNY człowieczek zgłasza się do pracy w charakterze drwala.

– A pracował pan już kiedyś przy wyrębie drzew?

– Oczywiście!

– Gdzie?

– Na Saharze.

– Przecież tam nie ma drzew!

– Teraz już nie...

★

STARSZA PANI do kierowcy: – Tylko ostrożnie, proszę, ja jadę pierwszy raz autem...

– Ja też, proszę pani...

Następnego dnia poprosiłam Edka Mikaeliana, żeby zamienił się ze mną na miejsca. Sama usiadłam na jego miejscu, przy Tani Bielousowej.

– Pokłóciliście się? – spytała Tania, jakby nigdy nic.

Złoty człowiek z tej Tańki, naprawdę! Inna na jej miejscu jeszcze długo chodziłaby obrażona, a ona od razu o wszystkim zapomniała. Moja przesiadka była jej zresztą na rękę – dawniej musiała łapać mnie na korytarzu, żeby zakomunikować kolejną fantastyczną nowinę. Teraz miała mnie pod ręką.

Jurka podszedł do mnie po lekcjach.

– Dlaczego się przesiadłaś?

– Nie domyślasz się?

– Nie...

– A wczorajsze?

– Co wczorajsze?

– Nie pamiętasz? Nawet tego nie zauważyłeś! Człowiek prosił was o pomoc, a wy...

– Ach, o to ci chodzi! – Jurka nawet jakby się ucieszył. – To nie moja wina, to matka! Ona nigdy nikogo nie wpuszcza do samochodu! Nie lubi obcych. Mówi, że działają jej na nerwy!

– Więc ją usprawiedliwiasz?

– Nie, dlaczego. Jasne, że to nie w porządku, ale co ja mam z tym wspólnego?

Więc to, co zdarzyło się wczoraj, było zaledwie „nie w porządku"?

W jednej chwili Jurka runął z piedestału, na którym sama go ustawiłam.

– Lenka! Poczekaj!...

Nie chciałam czekać. Zbiegałam ze schodów w takim tempie, jakby mnie kto gonił. Omal nie przewróciłam historyka. Nie przeprosiwszy go nawet, pobiegłam dalej. Ubrać się i uciekać stąd, uciekać jak najdalej!

– Aleksandrowa! – zawołał historyk. – Lena! Poczekaj!

Więc nawet wie, jak mi na imię! Staliśmy na klatce schodowej pomiędzy pierwszym i drugim piętrem, przed drzwiami do pokoju nauczycielskiego.

– Słuchaj, Leno... – powiedział historyk. – Wytłumacz mi, proszę... Dlaczego tak się zachowujesz na moich lekcjach?

W jego głosie nie było gniewu. Patrzył na mnie i czekał na odpowiedź.

Spuściłam głowę.

– Bo widzisz... – podjął znowu. – Uczę pierwszy rok, mam mało doświadczenia. Widocznie popełniłem jakiś błąd, jeśli wywołałem z twojej strony taką reakcję. Ale co to za błąd? Wytłumacz mi, proszę...

Milczałam, skubiąc brzeg fartuszka.

– Przecież nie jesteś złośliwa, wiem o tym – kontynuował jakby z wysiłkiem. – Może cię obraziłem? Może byłem dla ciebie niesprawiedliwy?

– Tak – wydusiłam z siebie.

– Ale kiedy? W jaki sposób? – dopytywał się. – Przecież nie mogę stawiać ci dobrych stopni, jeśli wcale się nie uczysz! I za twoim przykładem inni także zaczynają lekceważyć mój przedmiot. Masz silny charakter i...

Dokończenie na str. 7